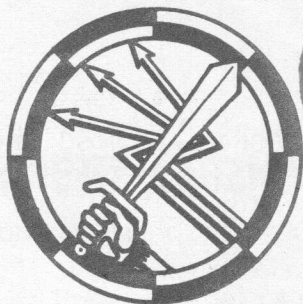
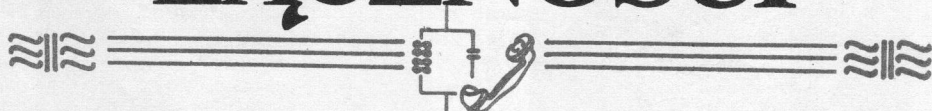


Organ Związku
Łącznościowców



For members only

PRZEGLĄD ŁĄCZNOŚCI



Nr Nr 1/22, 2/23, 3/24

LONDYN

JESIEŃ 1977 • WIOSNA 1978

Wydaje Związek Łącznościowców, Zarząd – 24 Ranelagh Rd, London W5 5RJ, England.

ZESZYT POJUBILEUSZOWY

SPIS RZECZY

Wojska Łączności i Łączność organizowali w zaraniu	2
Niepodległości Polski	3
Święto Łączności	3
Prezes Związku Łącznościowców-przemówienie powitalne	3
Z. Bohusz-Szyszko-przemówienie na Święcie	5
Tadeusz Lisicki-"Clansman"	10
Henryk Naimski-Uwagi do artykułu	17
Andrzej Grabia-Jałbrzykowski- Mała Mary Ann	20
Tadeusz Lisicki- Elektronika w służbie Zaplecza	33
Stefan Dąbrowski- Łączność w obronie Westerplatte	40
Józef Szkudlapski- Wspomnienia łącznościowca	44
Andrzej Grabia-Jałbrzykowski- Szkockie lata	49
Tadeusz Lisicki- Nowe bronie	63
Jan Krajewski- Wszystko do Kraju mnie woła (wiersz)	70

WOJSKA ŁACZNOŚCI I ŁACZNOŚĆ ORGANIZOWALI
W ZARANIU NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI



Plk. inż. Kazimierz Drewnowski
Pierwszy Dowódca W. Ł. i inspektor
W. Ł. 1918-1922. Prof. i Rektor
Politechniki Warszawskiej



Plk. Tadeusz Jawor
Kierownicze funkcje na szczeblu
MSWojsk i Nacz. Dowództwa 1919-1922
Szef Łączności MSWojsk 1921-1927



Plk. dypl. S. Rotarski
Szef Łączności Naczelnego
Dowództwa 1919-1921.

ŚWIĘTO ŁACZNOŚCI

W LONDYNIE 26 CZERWCA 1977 r.

Przemówienie Prezesa Związku Łącznościowców
pplk. dypl. inż. T. Lisickiego.
(transkrypcja z taśmy magnetofonowej przemówień
podczas śniadania).

Drodzy Państwo, zaszczycił nas Swoją obecnością nasz najwyższy przełożony wojskowy (general dywizji Zygmunt Bohusz-Szyszko-red.) Niech mi więc będzie wolno powitać Pana Generała jak najserdeczniej w imieniu wszystkich tutaj obecnych. Niech mi będzie wolno przywitać także naszego gościa Pana pułkownika dypl. Jana Berka, prezesa filatelistów, dzięki któremu mamy nasz datownik (łącznościowy, Poczty Brytyjskiej - red.) i te piękne karty i koperty (upamiętniające Święto Łączności-red.) Niech mi będzie wolno przywitać także Przedstawicieli i Prezesa naszych kolegów Saperów (pplk. dypl. inż. A. J. Szugajew - red.) oraz plk. L. Gnatowskiego, naszego niestrudzonego łącznikowego, który utrzymuje kontakt z Łącznością na całym świecie i tak swój program podróży ułożył, że dzisiaj mógł wstąpić po drodze do POSKlubu (brawa).

Święto nasze obchodzone jest dzisiaj nie tylko tutaj w Londynie, ale również w różnych ośrodkach rozsianych po całym świecie (łącznościowców - red.) I tak np. w Rochdale kol. M. Brodowski w Domu SPK zbiera kolegów, którzy mieszkają na Północy (Anglii-red.). W Bradford małżeństwo łącznościowe miało zebrać na obiedzie łącznościowców, którym zdrowie, wiek i koszty uniemożliwiły wzięcie udziału w obchodzie londyńskim. W dalekiej Argentynie, Koło Łącznościowców specjalnie uroczysto obchodzi dzisiejsze Święto dlatego, że wiąże się ono z dekoracją Pana pplk. dypl. Mieczysława Zaleskiego (Honorowego Prezesa Koła-red.) ostatniego Dowódcy Łączności (Szt. N. W. i MON- red.) Orderem Polski Odrodzonej i chor. Stefana Gruszeckiego (wiceprezesa Koła-Red.) Złotym Krzyżem Zasługi.

Jest nas niestety coraz mniej, ale nasze obowiązki zostały te same. A ponadto Łącznościowcy, jak wiemy z naszych Komunikatów, czynni są w wielu innych organizacjach i pracach społecznych. Muszę podkreślić tu np. co robi 11 Batalion Łączności, a szczególnie jeśli chodzi o harcerzy, którymi (Koło- red.) się opiekuje i których szkoli, również w dziedzinie łączności. Muszę

tu wymienić nazwisko kolegi J. Mrożka który jest Komendantem Hufca Harcerskiego tj. Szczepu Harcerskiego, przepraszam. Przy tej okazji trzeba przypomnieć, że 65 lat temu pierwszą linię telefoniczną, wolni Polacy, a właściwie harcerze wybudowali Marszałkowi, a wówczas Komendantowi Piłsudskiemu na ćwiczeniach pod Lwowem na Górę Zamkową (był to zastęp obecnego przewodniczącego Rady Związku Łącznościowców płk. Ignacego Junosza-Drewnowskiego-red.). A więc historia się powtarza i daj Boże, żeby nasi harcerze znów byli pionierami w przyszłości.

Wspomniałem, że nasi Łącznościowcy pracują w wielu organizacjach. I znów muszę wspomnieć, chociażby tych najbliższych, bo nie mogę odbierać chleba naszemu redaktorowi Komunikatu, który wszystko i wszystkich opisuje, ale wiemy, że Ci, szczególnie co mieszkają w Wimbledon i Putney wiedzą o pracy kolegi B. Wojcika, dzięki zdaje się któremu ks. bp. W. Rubin mógł kilka tygodni temu poświęcić nowy polski kościół katolicki.

Ci co mieszkają na południu (Londynu-red.) wiedzą o działalności kol. J. Piwowarczyka, a koledzy H. Trusiewicz i J. Szkudłapski są w zarządzie Związku Filatelistów. Jak mówię, nie mogę odbierać chleba naszemu redaktorowi i dlatego muszę skończyć z tą listą łącznościowców, którzy są czynni poza naszym Związkiem, bo byłaby zbyt długa.

Ale chciałem powrócić do czasu, kiedy powstawał nasz Związek Łącznościowców, wówczas generał Anders polecił nam: "Utrzymajcie łączność w gotowości". Od tego czasu minęło wiele lat, ale to zadanie pozostaje w dalszym ciągu może trochę w zmienionej formie, bo wątpię żebyśmy jeszcze wszyscy włożyli z powrotem mundury. Ale przechowujemy tradycje Wojsk Łączności, pilnujemy naszych sztandarów, pieczołowicie opiekujemy się tym, co pozostało w naszym muzeum i myślę, że może to jednak nie jest wszystko. Żesmy powinni przekazać młodszemu pokoleniu, bez względu na to, czy my będziemy, czy też już nas nie będzie, coś więcej.

Mam to na myśli, co nazywa się polską niezależną myślą wojskową.

Wiemy, że łączność zawsze współpracowała z pocztą, zawsze wykorzystywała urządzenia telekomunikacyjne poczty. Część nauki, która właśnie traktuje o urządzeniach telekomunikacyjnych m.in. wchodzi do tego działu, który nazywa się g e o g r a f i ą w o j s k o w ą.

Przytoczę z krajowych źródeł jak wygląda geografia wojskowa w Polsce obecnie. „W Ludowym Wojsku Polskim poważny wpływ na rozwój geografii wojskowej wywarła radziecka nauka wojskowa. Rozwija się ta teoria, jak również opracowywane są opisy wojsko-

wo-geograficzne oraz dokumenty zgodnie z wymaganiami przyszłego pola walki oraz potrzeb wojskowo-operacyjnych, wynikających z zadań sił zbrojnych PRL w ramach układu warszawskiego". Myślę, że komentarze tu są zbyt techniczne. Warto jednak przypomnieć, że po powstaniu listopadowym jeden z największych naszych strategów polskich gen. Prądzyński, który opublikował bardzo dużo najpoważniejszych prac m.in. jedną z nich poświęcił Geografii Wojskowej. Mierosławski wykładał geografię wojskową w Paryżu i w Genewie w latach 1840-tych. Po powstaniu listopadowym Frolich napisał rozprawę pt. "Polska jako teren strategiczny". A przed pierwszą wojną światową, pod pseudonimem "Mieczysławski" wyszła praca Piłsudskiego pt. "Geografia Militarna Królestwa Polskiego". Widzimy więc, że gdy Polska była wolna jak w latach niepodległości 1918-39, polska myśl wojskowa mogła się wówczas rozwijać w czasach, kiedy Polska tak jak dziś nie jest niepodległa, ta polska myśl wojskowa powinna się jednak dalej rozwijać. I myślę, że wypełnimy to co nam zalecił gen. Anders "Łączność powinna być zawsze gotowa", ale muszą to przejąć po nas następne pokolenia i właśnie ten dział myśli wojskowej, gdzie sama telekomunikacja jest tylko drobnym działem powinien się tutaj rozwijać, dlatego że w Polsce nie ma możliwości rozwoju.

Przemówienie gen. dyw. Z. Bohusza-Szyszko, Generalnego Inspektora P.S.Z.

Szanowne Panie, Drodzy Koledzy. Mam ten zwyczaj, że gdy znajduję się na jakimś większym naszym zgrupowaniu wracam myślą do tych czasów kiedy byliśmy młodzi, kiedy byliśmy aktywni, kiedyśmy działali na wszystkich polach, jakie stawiało nam życie. Jednym z tych działów na których większa część kolegów tutaj pracowała, to była Łączność. Wracam pamięcią do moich osobistych kontaktów z łącznością.

Pierwsza wojna światowa nie miała właściwie łączności, bo łączność to były nogi piechura i nogi konia. Nasza wojna z Bolszewikami - nie mam wspomnień o łączności, bo to były znowu dwa czy trzy przestarzałe aparaty telefoniczne francuskie lub niemieckie i kawałek drutu telefonicznego i na tym się łączność urywała.

Dopiero po wojnie z Bolszewikami łączność rozwinęła się jak się należy i już z naszej wojny 39 roku mam konkretne wspomnienia o łączności, o Waszej pięknej broni, tak odpowiedzialnej i tak niebezpiecznej.

Otóż, pierwsze moje takie zetknięcie się namacalne było z moim Szefem Łączności - dowodziłem wtedy Pomorska 16 Dywizja Piechoty i moim Szefem Łączności był mjr. Józef Morkowski. Był to wysoki, schludny mężczyzna, bardzo kanciasty tak, jeśli chodzi o Jego kanciastość, to mi trochę przypomina Waszego przyjaciela Saperę (ppłk. dypl. inż. A. J. Szugajewa-red.) tu obecnego, też taki kanciasty. Ale to był świetny łącznościowiec i do końca w tych naszych trudnych warunkach, w jakich byliśmy w 39 roku w Dywizji miałem łączność bez pudła. Pudło zdarzało się tragiczne. Odwrót znad Bzury. Jesteśmy w takim miasteczku, które tak ładnie i dźwięcznie nazywa się Kiernozia. Pałacyk przesłiczny i mój szef sztabu zainstalował tam nasz sztab. Przed pałacikiem ogromny park, obrosnięty szeregami starych stuletnich klonów po obydwu stronach i pod jednym z tych klonów usadowiła się moja ostatnia i nie tylko moja, dywizyjna, ale na tym odcinku ostatnia radiostacja. I otóż przyszedł poranek wrześniowy, przesłiczny słoneczny, niebo bez chmurki błękitne, słońce dopiero co się na niebie pokazało i my, ja z gen. Bortnowskim, który towarzyszył mi przez cały ten odwrót znad Bzury, wychodzimy z pałacyku żeby obejrzyć rozlokowanie sztabu dywizji. W tym czasie odbywa się nalot. Jedna, potem druga fala bombowców - myśmy gdzieś pod drzewem się przyczaili. Przeszła pierwsza fala - rzucili bomby, druga fala - z karabinów maszynowych posiali. Odlecieli. I my z nim idziemy dalej. Skracamy w lewą boczną alejkę i widzimy - radiostacja stoi pod klonem jak się patrzy. Po drugiej stronie pod klonem innym siedzi podoficer żandarmerii. I gdy my się zbliżamy, ani obsługa radiostacji, ani ten żandarm, siedzący pod drzewem nie ruszają się z miejsca. Przy radiostacji dwóch ludzi siedzi też na ziemi. Podeszliśmy, niestety to nie byli już ludzie żywi. Kule, z dużego ciężkiego karabinu maszynowego lotniczego rozprawiły się zarówno z nimi jak i z radiostacją. Cała radiostacja była podziurawiona, bo pobita w środku całkowicie i przy niej ten żandarm i dwóch naszych łącznościowców. To było moje takie tragiczne zetknięcie się z bronią, której na imię Łączność. A ten fragment udowodnił jak niebezpieczna i jak odważna jest ta broń, bo oni się nigdy nie schronili. Oni na swym posterunku wytrwali. To było moje takie spotkanie tragiczne i bodaj ostatnie z łącznością w czasie naszej wojny 39 roku.

Później przyszła Francja. Brygada Podhalańska. Wyjechałem do Brygady Podhalańskiej. Kłótnie miałem z dowódcą francuskiej dywizji, który do mnie z pretensją wystąpił: "Co, Pan chciałby mieć łączność telefoniczną z każdym batalionem?" Ja mówię: "Nie, panie generale, z każdą kompanią". No i on był na mnie wtedy obrażony. Ale znowu moi łącznościowcy tam poradzili, bo moja radiostacja stara francuska, którą mi dali - nie znam się

na tych numerach i nie staram się ich zapamiętać, ale oni znali te numery, wiedzieli jak się z nią obchodzić i przez tę starą radiostację francuską rozmawiałem spod Narwiku z Paryżem. Więc, świadczy o tym, co potrafiły nasze "druciki" zrobić z takiego starego grata, jakim była ta stara, przestarzała francuska radiostacja.

Później przyszła Rosja. Znaleźliśmy się w Rosji. I Rosjanie byli tak łaskawi, że dali nam parę aparatów radiowych o zasięgu kilkudziesięciu może do stu kilometrów. I otóż tu na sali wśród nas jest ten pan łącznościowiec, ten "drucik", który potrafił z tych radiostacji sowieckich zrobić sprzęt taki, przy pomocy którego rozmawiałem z Jangi-Julu na fonie z Kermine. Kto był w Rosji i pamięta mapy, wie jaka to jest odległość. Ten Pan jest tutaj, tylko schował się, żeby nie pokazać na niego palcem; to jest inż. R. Kosarski (brawa).

Przytaczam te fragmenty mojego osobistego zetknięcia się z bronią, której na imię Łączność.

Tu padło przed chwilą słowo jedno, gdzie w liście gen. Rudnicki mówi, że "nie przypomina sobie, żeby na terenie włoskim w czasie kampanii włoskiej, która trwała rok z górą, żeby łączność nawaliła." Byłem wtedy zastępcą dowódcy 2. Korpusu pod Bolonią już dowodziłem Korpusem, bo gen. Anders odszedł na stanowisko Naczelnego Wodza i... potwierdzam to, co napisał generał Rudnicki, iż ja nie znam faktu, żeby w czasie naszej kampanii włoskiej łączność w którymkolwiek bądź miejscu nawaliła. Pracowała bez pudła. I to jest ten egzamin, który wyście zdawali.

Przychodzę do kluczowego momentu, który chcę z Wami poruszyć. Gen. Anders polecił Wam utrzymać łączność w gotowości. Ja upatruję w słowach gen. Andersa, mego przyjaciela, którego dobrze poznałem i wiem co On, myślał wtedy, kiedy to mówił i jakie miał *arrière pensée*, twierdząc, że tu nie chodziło o sprzęt i o Waszą zdolność posługiwania się sprzętem dla tej prostej przyczyny, że gen. Anders doskonale sobie zdawał sprawę, że tego sprzętu, dopóki nie wybuchnie wojna, do rąk nie dostaniecie. On miał na myśli inną łączność... tę, którą Wy utrzymujecie i której przykładem jest to, że na Waszym Święcie tutaj jest kanciasty Saper, jest tutaj ten okrągły od poczty i od filatelistyki pułkownik, tak miły i przedstawiciele innych broni i oddziałów przychodzą na Wasze Święto.... ta łączność jest konieczna. I myślę, że Anders miał tę właśnie myśl wtedy i do Was się z tą myślą zwrócił dlatego, że ktoś inny jak nie łącznościowcy powinni umieć najlepiej utrzymać tę łączność, która nas wszystkich skupia, która z nas rozproszonego tłumu emigrantów, uchodźców na obczyźnie, robi zwartą siłę z którą trzeba się liczyć!

Proszę Państwa, my w naszej działalności tu na angielskim i na innych terenach spotykamy się raz po raz z tym, że z chwilą kiedy się któraś z grup, że się tak wyrażę, etnicznych fachowych skupi mocno i połączy z innymi, uzyskujemy od tych samych naszych gospodarzy dużo, dużo najrozmaitszych przywilejów i ustępstw, których normalnie byśmy nie otrzymali. Dlaczego? Dlatego, że my przedstawiamy wtedy, kiedy tworzymy organizację społeczną i wojskową, związaną silnie ze sobą, nie dającą się rozbić, nie podlegającą wpływowi reżymu i komunizmu, stanowimy siłę, która i teraz w życiu społecznym w naszym kraju, tego w którym jesteśmy, Anglii i życiu przyszlým gdyby wybuchła wojna, będziemy stanowili siłę, która ma swoją wartość i z którą trzeba się liczyć. O tej łączności myślę.... wtedy mówiąc do Was myślał gen. Anders. I wracając myślą do Jego postaci chce powiedzieć, że ktoż inny takie słowa mógłby powiedzieć jak nie On, który tak potrafił nas wszystkich wtedy na terenie Rosji i później na terenie Bliskiego Wschodu i Włoch zjednoczyć i do takich zwycięstw doprowadzić. To był ten nasz Wódz o którym gdyśmy się tak zebrali, gdy tak wszyscy jesteśmy i o tych sprawach naszych dawnych i terażniejszych mówimy, kiedy czytamy listy przychodzące do nas z Argentyny, z innych krajów, wspomnijmy o Nim. Kiedy żegnaliśmy Go na Monte Cassino, żegnałem Go tymi słowami, powiedziałem Mu, że nie będzie samotny w Swoim grobie, bo będzie spoczywał wśród swoich żołnierzy, a nasze myśli i nasze serca będą zawsze do Niego szły. Dlatego też, ja proszę żebyśmy uczcili Jego pamięć przez powstanie i chwilę milczenia. (Uroczyste milczenie). Dziękuję Państwu.

Proszę Państwa, nie będę długo o tym mówił, ale zdajemy sobie sprawę, że Jemu zawdzięczamy przede wszystkim to, żeśmy zrozumieli czym jest ta broń, jaką jest wolne słowo polskie. On ją włożył w ręce i On nas na tę drogę słowa, na drogę nauki polskiej popchnął. Dzisiaj mamy w Anglii swoje czasopisma, bo je mamy, i to nie tylko tu, które tutaj wychodzą, ale te które wychodzą gdzieindziej. Mamy tutaj swoje szkoły. Mamy swój uniwersytet, swoje gimnazjum i wszędzie są szkoły powszechne przy naszych organizacjach katolickich. Mamy swoje domy starców, tak jak tam kiedyś mieliśmy domy dziecka. Mamy nasze organizacje społeczne, które tak jak nasze Koła Wojskowe, tak jak SPK, kwitną i żyją. I to po tylu latach. Po trzydziestu latach my mówimy po polsku, my czytamy po polsku, nasze dzieci uczą się po polsku. A przy tym wszystkim poza SPK jest jeszcze druga siła- Kościół. Teraz niedawno było poświęcenie nowego kościoła katolickiego polskiego. Przecież proszę popatrzeć, że my czasami widzimy, że puste stoją inne kościoły takie czy inne, do ruiny idą, a nasze kościoły kwitną.

I zdawałoby się, nas coraz mniej, nas starych, zostaje tu młodzież, która nie jest tak "przylepna" do religii, jak my. A okazuje się, że my kupujemy nowe kościoły. Więc, jak się to dzieje? To jest ta nasza właśnie wewnętrzna łączność do której i Wy wszyscy, ilu Was tutaj jest "fajnie" się przyczyniacie, bo to zebranie, które dzisiaj tutaj jest, czym to jest. ? Jest przykładem największej wewnętrznej łączności jaka może istnieć na świecie; łączność między ludźmi, łączność między sercami ludzkiimi i między ich umysłami.

Pozwolę sobie wypić za zdrowie tej pięknej broni jaką jest Łączność i życzyć, żeby w przyszłości kiedy odwróca się warunki, żeby ta Łączność tak działała jak działała dotąd. Zdrowie broni Łączności!

W przemówieniu zapomniałem podziękować bardzo serdecznie Państwu za to, że w Waszym imieniu pan Prezydent odznaczył mnie Waszym Znakiem Łączności. Liczę teraz, że jestem wśród Was tak samo "drućikiem"

Tadeusz Lisicki

CLANSMAN

NOWA RADIOSTACJA DYWIZYJNA

Łączność sił zbrojnych NATO a więc i Wielkiej Brytanii zostaje obecnie przeorganizowana i otrzymuje nowoczesny sprzęt radiowy, dostosowany do wymagań przewidywanego pola walki. Wojsko brytyjskie na szczeblach od dywizji w dół zostaje wyposażone w nowe radiostacje typu Clansman.

Postęp w uzbrojeniu i wyposażeniu wojska a także możliwość użycia taktycznych broni jądrowych wywarły decydujący wpływ na przemiany jakie zaszły w dowodzeniu i w taktyce broni połączonych.

Dywizja w walce.

Dywizja piechoty NATO składa się z 6 batalionów piechoty, 4 batalionów czołgów, 5 dywizjonów artylerii oraz odpowiedniej ilości oddziałów saperskich, łączności i innych. Przydział dwu batalionów czołgów z odvodu armii przekształca ją w dywizję pancerną zdolną do wykonania każdego zadania zaczepnego stawanego dywizji pancernej. W obronie dywizja piechoty może skutecznie bronić swego rejonu przeciwko dywizjom nieprzyjaciela. (najczęściej jednej piechoty i jednej pancernej), a w oparciu o przygotowaną pozycję i przy skutecznym wsparciu lotniczym może załamać natarcie nieprzyjacielskiego korpusu. Podstawową bronią piechoty jest broń przeciwpancerna.

Batalion piechoty składa się z 4 kompanii, trzy plutonowych. Pluton przewożony jest w trzech opancerzonych transporterach. Batalion czołgów składa się z 4 kompanii czteropłutonowych. Dywizjon artylerii ma 4 baterie sześcioddziałowe. Działa są samobieżne średnich i ciężkich kalibrów. Dywizjon jest zdolny do prowadzenia ognia w ruchu do celów ruchomych dzięki urządzeniom elektronicznym wchodzącym w skład sieci, zarówno w działaniach bojowych jak i w zaopatrzeniu. Opuszczenie dróg spowodowało zmiany w systemie kierowania ruchem oddziałów, który upodobił się do nawigacji morskiej. Ruch oddziałów i ich każdorazowa pozycja w terenie, przekazywane są do sztabu dywizji za pomocą urządzeń elektronicznych, będących częścią sieci radiowych.

Do walki dywizja przystępuje w zgrupowaniach bojowych (battlegroup), które zazwyczaj składają się, zależnie od zadania, na przykład z jednej kompanii piechoty i trzech kompanii czołgów. Jest to zgrupowanie bojowe z przewagą pancerną (armoured heavy battlegroup). Lub z jednej kompanii czołgów i trzech kompanii piechoty, tworząc zgrupowanie z przewagą piechoty (infantry heavy battlegroup). Na niższym szczeblu (plutonu) piechota i czołgi mogą być mieszane, w różnej proporcji tworząc zespoły bojowe (combat team). W skład zgrupowania bojowego wchodzi także artyleria. Kilka zgrupowań bojowych (ilość ich zależy od zadania) może być zorganizowanych w brygadę (task force).

Przy pełnych stanach dywizja piechoty NATO liczy 15 500 ludzi i 250 czołgów.

Radiostacje Clansman.

Przestarzałe radiostacje typu Larkspur zostają obecnie wycofane, a dwadzieścia sześć typów tych radiostacji będzie zastąpionych siedmioma radiostacjami typu Clansman. Pierwsze z nich znalazły się w oddziałach Wojsk Brytyjskich w Niemczech (B.A.O.R.) w zeszłym roku, a pozostałe zostaną stopniowo wprowadzone na wyposażenie w ciągu następnych dwóch lat.

Jedną z największych trudności do pokonania przy projektowaniu radiostacji Clansman było zagadnienie ilości kanałów, które należało zmieścić w zakresach wielkich częstotliwości (H.F.), bardzo wielkich częstotliwości (VHF) oraz ultra wielkich częstotliwości (U.H.F.), przydzielonych Clansmanowi. Właściwe rozwiązanie osiągnięto dzięki zastosowaniu najnowszej techniki syntezy częstotliwości. Każda radiostacja posiada tak zwany syntezyzer (synthesiser), który jest urządzeniem sterowanym kwarcem, pozwalającym na bardzo dokładne nastrojenie częstotliwości i jej ustabilizowanie. Przy jego użyciu odpada konieczność zestrainowania sieci, a przejście z jednej częstotliwości na inną zajmuje tylko kilka sekund. Jest to bardzo ważne gdyż szybka zmiana częstotliwości może być konieczna z powodu zagłuszeń. Zagadnienie przydziału częstotliwości przy obecnym nasyceniu oddziałów walczących jest bardzo skomplikowane i zazwyczaj czyni to z góry zaprogramowany komputer, biorąc pod uwagę takie czynniki jak rozmieszczenie oddziałów, przewidywany przebieg walki i tp. Dobra stabilizacja częstotliwości, zastosowanie techniki obwodów scalonych i innych ulepszeń pozwoliło na zmniejszenie szerokości kanału do 25 KHz czyli dwukrotnie powiększyło ilość będących do dyspozycji kanałów, gdyż Larkspur miał kanały o szerokości 50 KHz.

Radiostacje Clansman mogą pracować zarówno w tropiku jak i w największych mrozach (od -40 C do + 55 C), mogą być bez szkody zanurzone w wodzie do głębokości półtora metra, są wyt-

rzymałe na wstrząsy, łatwe do naprawy (wymienia się cały podzespół) i dzięki zastosowaniu mikrominiaturyzacji są lekkie i małe oraz zużywają mniej prądu w porównaniu z poprzednimi.

Ich strojenie jest bardzo proste i przeszkolenie obsługi wymaga mało czasu a niektóre typy mają takie same pokrętła i przełączniki czyli taką samą "galkologię".

Z siedmiu radiostacji typu Clansman, trzy pracują w zakresie wielkich częstotliwości, trzy bardzo wielkich i jedna ultrawielkich. Radiostacje pracujące na tych samych zakresach mogą z sobą współpracować. Dwie są zmontowane na pojazdach, a pięć jest przenośnych.

Radiostacja PRC 349 przeznaczona jest do łączności w czasie walki na szczeblu pluton-drużyna i wewnątrz drużyny. Posiada zakres częstotliwości 37-47 MHz, 400 kanałów, zasięg 1,5 km. (zasięgi są zawsze podawane dla najgorszych warunków i dla pracy na fonie), waży ona 1,5 kg (wagi są podawane dla radiostacji z pełnym wyposażeniem tj. baterią, anteną, słuchawkami, mikrofonem itd.) Bateria wystarcza na 20 godzin pracy.

Radiostacja PRC 350 przeznaczona jest dla utrzymania łączności pomiędzy dowódcą plutonu i dowódcami drużyn tak w czasie transportu jak i walki. Zakres częstotliwości 36-57 MHz, ma 840 kanałów i zasięg 5 km. przy normalnej antenie prętowej, a przy użyciu specjalnej anteny, znacznie większy. Waży 3,6 kg. Bateria lub akumulator wystarcza na 12 godzin pracy. Radiostacja ta niczym nie krępuje swobody ruchu piechura, mieści się pod pachą lub może być umieszczona w specjalnym uchwycie w samochodzie lub opancerzonym transporterze. (Foto 1.)

Radiostacja PRC 351 przeznaczona dla szczebla kompanii ma zakres częstotliwości 30-76 MHz i 1840 kanałów. Nadajnik ma moc 4 watów, zasięg 8 km. przy użyciu przystawki moc może być powiększona do 20 watów, a zasięg do 16 km (wówczas nazwa jej jest PRC 352). Waży ona 6,3 kg (PRC 351) lub 9,1 kg (PRC 352), wymiary 42x26x12 cm. Jest ona radiostacją plecakową i nie zmniejsza zdolności bojowej żołnierza. Może być zainstalowana w pojeździe przy pomocy specjalnego uchwytu. Radiostacja ta może również pracować jako automatyczna radiostacja przekaznikowa (pośrednicząca bez obsługi). Dla tej pracy potrzebne są dwie radiostacje połączone pomiędzy sobą i pracujące na różnych częstotliwościach.

Radiostacja VRC 353 przeznaczona jest do łączności pomiędzy czułgami, może także być użyta jako automatyczna radiostacja przekaznikowa (pośrednicząca bez obsługi) lub też jako stacja stała lub półstała. Ma ten sam zakres częstotliwości co PRC 351, to jest 30-76 MHz i taką samą ilość kanałów 1840. Pełna moc nadajnika wynosi 50 W, ale może ona pracować zmniejszo-



Radiostacja PRC 350

na mocą (15 W, 1 W, lub 0.1 W). Jej zasięg jako radiostacji stałej przy pełnej mocy jest 60 km, a z czołgu 28 km. Oprócz fonii może ona przekazywać dane komputerowe, obrazy i przy zastosowaniu przystawki dalekopis. Waży 22 kg, wymiary jej są 22x24x35 cm. (Foto 2).

Radiostacja PRC 320 obsługuje szczebel batalion-kompanii artylerii i saperów. Zakres częstotliwości 2-30 MHz. Można ją nastroić na 280 000 różnych częstotliwości (przy zastosowaniu syntesajzera jest to bardzo proste). Nadajnik ma moc 30 W, ale może pracować na pół mocy. Zasięgi wynoszą wówczas 30 km lub 20 km. Jest to radiostacja plecakowa, waży 11 kg, o wymiarach 35x26x12 cm. Zasilanie wystarcza na 12 godzin pracy, ale umieszczona w pojeździe może być zasilana z jego akumulatora.

Radiostacja VRC 321 jest przeznaczona dla szczebla zgrupowań bojowych, broni wsparcia i służb. Zakres częstotliwości 1.5-30 MHz. Moc nadajnika wynosi 40 W, ale może pracować na zmniejszonej mocy 5 W, zasięgi wynoszą wówczas 50 km i 20 km. Przy dodaniu wzmacniacza moc nadajnika wzrasta do 300 W. Jest ona zmontowana w pojeździe, w czasie postoju i ze specjalną anteną może pracować na fali odbitej, wówczas zasięg jej wynosi kilkaset kilometrów ale w pewnych warunkach może zaistnieć strefa martwa pomiędzy falą przyziemną i falą odbitą. Waży ona 23 kg, a wraz z 300 watomym wzmacniaczem 40 kg.

Radiostacja PRC 344 jest przeznaczona do łączności ziemniolotnik, ma zakres częstotliwości 225-399 MHz (ultrawielkie częstotliwości), zasięg zależny jest od wysokości lotu i wynosi do 160 km. Waży ona 7,6 kg. zasilana jest z baterii, która wystarcza na 12 godzin pracy.

Sieć radiowa na polu walki

Uproszczony schemat sieci radiowych zgrupowania bojowego (battlegroup) przedstawia rys. 3. W rzeczywistości sieci tych będzie znacznie więcej.

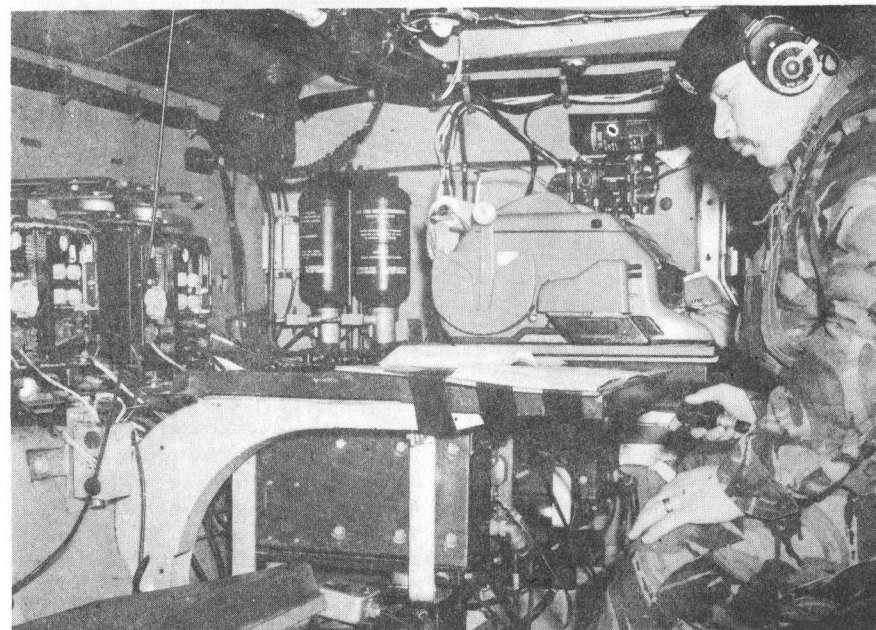
Dowódca zespołu bojowego (combat team) znajduje się zazwyczaj w samochodzie (land rover) w którym zamontowane są dwie radiostacje VRC 353, jedna pracująca w sieci przelozonego tj. utrzymująca łączność z dowódcą zgrupowania bojowego (battlegroup) i sąsiadami, druga zapewnia łączność z podwładnymi tj. dowódcami plutonów piechoty i czołgów. Opancerzone transportery piechoty i czołgi są także wyposażone w radiostacje VRC 353.

Kiedy piechota opuszcza transportery i walczy spieszona, wówczas dowódca zespołu bojowego utrzymuje łączność z podwładnymi radiostacją PRC 351 a podwładni używają radiostacji PRC 350. Dowódca plutonu spieszono utrzymuje łączność z dowódcami drużyn przy pomocy radiostacji PRC 349.

Dowódca zespołu bojowego (combat team) utrzymuje przy pomocy radiostacji VRC 353 łączność z obserwatorami artylerii i moździerzy z których każdy ma jedną radiostację VRC 353 w pojeździe i jedną PRC 351 dla walki spieszonoj. Mają oni także bezpośrednią łączność z dowódcami baterii i stanowiskami moździerzy.

W przypadku kiedy dowódca zgrupowania bojowego opuszcza swoje dowództwo i udaje się na wysunięte stanowisko dowodzenia (rover group) wówczas zabiera z sobą kilka pojazdów z radiostacjami VRC 353 przy pomocy których utrzymuje łączność z podwładnymi, a towarzyszący mu artylerzysta i saper włączeni są do swoich sieci.

Wszystkie radiostacje od szczebla zgrupowania bojowego w dół obsługiwane są przez żołnierzy danych broni, natomiast łączność w górę utrzymują wojska łączności. Dowódca łączności współpracuje ściśle z dowódcą dywizji i jest odpowiedzialny za sprawne działanie łączności. Do jego obowiązków między innymi należy rozmieszczenie automatycznych radiostacji przekaźnikowych (bez obsługi pośredniczących) i przydział częstotliwości.



Dwie radiostacje VRC 353 w pojeździe (land rover)

2. Stan gotowości środków łączności można oceniać jako dostateczny, ale tylko na szczeblu taktycznym, do dywizji włącznie. Sprzęt dla łączności przewodowej był dobry, na znacznie wyższym poziomie niż np. sprzęt francuski. Środki transportu dla jednostek wojsk łączności, aczkolwiek o pociągu konnym, były zupełnie dobrze przystosowane dla potrzeb w.j. piechoty i kawalerii (taczanki na kołach ogumionych). Radiostacje nadawczo-odbiorcze polowe typu "N" były rozwiązaniem naprawdę nowoczesnym jak na ówczesne wymagania i poziom techniki. Brakowało jedynie zmotoryzowanych środków transportu do szybkiego przerzucania stacji i utrzymania łączności w ruchu.

Trzeba podkreślić z naciskiem, że wprowadzenie nowoczesnego sprzętu łączności do wyposażenia wojsk łączności na szczeblu w.j. oraz oddziałów łączności pułków broni zostało zrealizowane dzięki wyteżonej pracy przemysłu, Biura Badań Tech. W. Ł., pod ścisłym kierownictwem D-twa Wojsk Łączności M.S. Wojsk. D-two to utworzone w grudniu 1934 r. zdołało w ciągu tak krótkiego czasu do 1938 r. pokonać liczne trudności organizacyjne, techniczne i finansowe dla zapewnienia wyposażenia i zorganizowania jednostek W. Ł. na szczeblu taktycznym. Nie można tu pominąć wkładu D-cy W. Ł. płk. dypl. Cepy. jego energii i oddania.

Inaczej sprawa przedstawia się w zakresie technicznych środków łączności na szczeblu operacyjnym, a więc tam gdzie brak łączności telefonicznej lub telegraficznej przewodowej albo radiowej nie można zastąpić gońcem, a wyjątkowo tylko można zastąpić samolotem. Na tym szczeblu głównie trzeba było polegać na ogólnopaństwowej stałej sieci telekomunikacyjnej zarządzanej i eksploatowanej przez Min. Pocz. i Telegrafow. Sieć ta składała się przeważnie z napowietrznych linii wrażliwych na uszkodzenia zewnętrzne. Istniały wprawdzie już dwie magistrale kablowe, ale nie mogły one odegrać poważniejszej roli.

Łączność radiowa na tym szczeblu (od dywizji w górę) miały zapewniać przestarzałe radiostacje RKA i RKG/A. Nowoczesna radiostacja typu W została wprawdzie już opracowana i wyprobowana, ale niestety wykonana tylko w dwóch egzemplarzach prototypowych. Nie starczyło już czasu na wykonanie serii, która mogłaby zaspokoić potrzeby.

3. W tej sytuacji należało możliwie jak najwcześniej, niezależnie od planów Sztabu Głównego, przystąpić do odpowiedniego przygotowania sieci telekomunikacyjnej Państwa, za wszelką cenę, w zrozumieniu jej znaczenia dla celów operacyjnych i całokształtu

obronności(1) Przygotowanie to powinno było polegać na wzmocnieniu gęstości łączy na głównych kierunkach, budowie dróg obejściowych, rokad i tp. oraz obsadzeniu niektórych węzłów przez oficerów W. Ł. a także na wczesnym zorganizowaniu ekip naprawczych (wojskowo-cywilnych) dobrze obeznanym z powierzonymi im odcinkami linii i wyposażonym w zmotoryzowane środki transportu dla zapewnienia szybkiego przerzucania na odcinki zagrożone.

Brak takiego przygotowania i odpowiedniej organizacji był przyczyną, że zniszczenia linii napowietrznych (przecież nie zupełnie) nie mogły być usuwane choćby prowizorycznymi wstawkami z kabla polowego.

Mobilizacja części personelu P. I. T. i wojsk łączności oraz mobilizacja sieci telekomunikacyjnej powinna była znacznie wyprzedzać mobilizację ogólną. I to był drugi poważny błąd.

4. Ogólnie biorąc, artykuł cechuje fragmentaryczność opisu wydarzeń, brak kompleksowej analizy oraz subiektywne podejście do zarządzeń Naczelnego Dowódcy Łączności, któremu zarzuca się popełnienie większości błędów w czasie kampanii 1939r. oraz w okresie przed wojną- jako D-cy Wojsk Łączności M.S. Wojsk. Nie wspomina się zupełnie o osiągnięciach w dziedzinie zaopatrzenia w sprzęt i wyszkoleniu kadry. Na marginesie trzeba dodać, że mimo "cieni", które tak ciężko padły na wojska łączności w 1939 r. niedługo potem ta sama kadra przyczyniła się do ukazania się "blasków" podczas kampanii w Norwegii, Afryce, Francji, Włoszech, Holandii i Niemczech.

Nasuwa się też uwaga co do niezbyt szczęśliwego zestawienia porównawczego pracy łączności na szczeblu Naczelnego Dowództwa podczas Blitzkriegu z działaniem łączności w bitwie pod Monte Cassino o charakterze pozycyjnym. Całkowita odmiennosc warunków nie sprzyja porównywaniu.

Dlatego uważam, że omawiany artykuł należy traktować jako wspomnienia nie pozwalające na wyciąganie daleko idących wniosków, a zwłaszcza dających podstawę do oceny poszczególnych dowódców lub oficerów sztabów.

÷O roli jaką odegrała sieć telekomunikacyjna w służbie dozoru i łączności POL zawiera wiele danych książka "Dwie wojny" gen. J. Zajaca (str. 190).

Andrzej Grabia-Jalbrzykowski

MAŁA MARY ANN

Od wielu lat czytam codziennie "Buenos Aires Herald". Przerzucam wiadomości ze świata; czasem zapląta się między nie jakaś notatka na pozór bez znaczenia, ot może wydrukowana dla zapełnienia kilku wolnych linijek w dzienniku. Cóż może na przykład obchodzić licznych czytelników tego pisma wiadomość, że jakaś bogata angielska rodzina wysłała do Acapulco bardzo poważnego londyńskiego barristera, żeby odszukał, przywiózł i oddał rodzicom pannę Mary Ann Grimston, która od pewnego czasu żyła tam w obozie jakichś hippisów na słonecznej ziemi meksykańskiej i ani myślała wracać do domu. A jednak notatka ta mnie zaskoczyła. Czyżby mała Mary Ann? Nie, chyba nie możliwe... Zaczęłam obliczać lata. A może to jednak ona?

Sięgnąłem myślami wstecz. Zobaczyłem siebie siedzącego w bardzo ładnym salonie lordostwa Verulam w Gorhambury House koło Londynu. Naprzeciwko mnie siedziała wicehrabina Grimston, obok niej jej teść, lord Verulam, a obok mnie.....



Mjr D. Tarnowski i ppor. A. Grabia-Jalbrzykowski

Właśnie zostałem pociągnięty za rękaw i posłyszałem szeptem wypowiedziane zwierzenie: "Wie pan, ta moja siostra (tu wzrok mojej pięcioletniej rozmówczyni wskazał na jej o rok młodszą siostrzyczkę grzecznie siedzącą obok mamy) jest naprawdę bardzo głupia. Nic nie umie sama powiedzieć. Powtarza tylko to co ja jej mówię". Zwierzeniu towarzyszyło spojrzenie, które miało oznaczać, że my, starsi możemy sobie pozwolić na tego rodzaju krytykę młodszego pokolenia.

Czemuż po małą Mary Ann nie wysłano po prostu jej o tyle mądrzejszej siostry, tylko szukano jakiegoś barristera? - pomyślałem teraz. Ciągle mam przed oczyma te dwie śliczne dziewczynki wychodzące z niańką na spacer do wspaniałego lordowskiego parku. A to jednak już tak dawno temu

Był rok 1944. Dość niespodziewanie dowiedziałem się, że mam pakować manatki i meldować się pojutrze w sztabie w Londynie. Bilet i rozkaz wyjazdu był już gotów w kancelarii. Żal mi było Szkocji. Spędziłem tu trzy lata, nawiązałem wiele przyjaźni, polubiłem szczerze ten kraj i jego mieszkańców. Wywoziłem mnóstwo wspomnień z okresu, kiedy świat wydawał się tak bardzo różowy i za każdym rogiem czyhała nowa przygoda. Tak chyba jest zawsze kiedy wkracza się śmiało i bunczucznie w dwudzieste lata życia. Z drugiej jednak strony czułem, że zaczyna się narzeczcie coś, na co czekałem od dawna, coś co da sens tym minionym trzem latom. Wyruszałem na spotkanie nowej przygody.

Do Londynu przyjechałem w pierwszej połowie sierpnia. Od razu wpadłem w atmosferę ogromnego podniecenia i nerwowości. Od blisko dwóch tygodni Warszawa walczyła już otwarcie z wrogiem, telegramy odbierane przynosiły coraz to bardziej dramatyczne wezwania pomocy, prasa brytyjska zdawała się przemilczać te epopeje jakby na skutek jakiejś piekielnej zмовy. Zameldowałem się w myśl posiadanych instrukcji kapitanowi Dariuszowi Tarnowskiemu i od razu od pierwszej chwili nabrałem przekonania, że mam do czynienia z człowiekiem, z którym nie będzie mi trudno znaleźć wspólny język. Wysoki i przystojny, młody i uprzejmy, zamiast meldunków czy raportów przywitał mnie przyjaźnie. Usiedliśmy i w miłej rozmowie wytłumaczył mi to wszystko, co miało stać się treścią naszej współpracy na przestrzeni najbliższych miesięcy.

Po długich i skomplikowanych pertraktacjach z władzami brytyjskimi Anglicy zgodzili się na udostępnienie polskiemu sztabowi naczelnego wodza radiostacji fonicznej dla usprawnienia łączności z krajem, której konieczność wzmocnienia w tym właśnie okresie coraz gwałtowniej dawała się odczuwać. Przekazy radiotelegraficzne nadawane do Polski nie zawsze docierały do odbiorców z uwagi na oddalenie radiostacji korespondujących

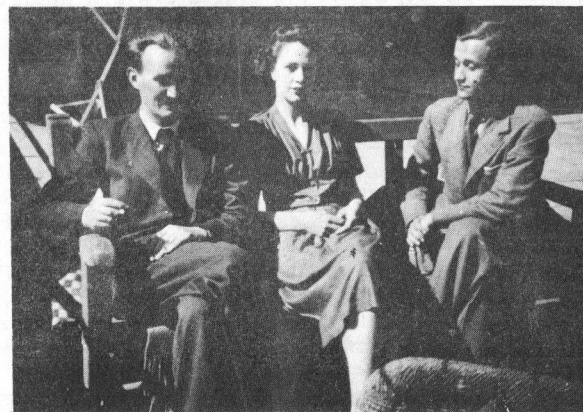
od dowództw i ze względu na kolosalne niebezpieczeństwo na jakie narażeni byli polscy odbiorcy nadawanych z Zachodu wiadomości, które przecież nie tylko miały dopomagać walce na odcinku taktycznym, ale również dotyczyły spraw tak istotnych jak zrzućy zaopatrzeniowe, czy wiadomości o np. lądowaniu skoczków spadochronowych na terenie walczącego Kraju. Silna stacja foniczna rozwiązywała cały szereg problemów, pozwalała na odbiór na handlowych odbiornikach w bez porównania lepszych warunkach (bezpośrednio np. w biurze szyfrowym przy dowództwie) i nie wymagała do tego wysoko kwalifikowanych radiotelegrafistów. Potwierdzenia odbioru nadanych wiadomości stacja otrzymywała drogą radiotelegraficzną tej samej nocy.

Trudno chyba było znaleźć człowieka bardziej odpowiedniego do zorganizowania tego rodzaju projektu jak Tarnowski. Mówił o tych sprawach tak rzeczowo, trzeźwo, ale i zarazem z tak wielkim przejęciem, że jego entuzjazm udzielał się otoczeniu wraz z silnym przekonaniem, że tego człowieka nie wolno zawieść. Projekt pochłaniał go bez reszty, był w tej chwili z pewnością dla niego jedynym celem jego życia, wszystko inne usuwało się na dalszy plan. To jego nastawienie dawało lepszą gwarancję owocnej z nim współpracy niż najbardziej rygorystyczne rozkazy. I chyba Tarnowski wiedział o tym i dla tego wybrał to podejście do swoich podkomendnych, nie zdając sobie może nawet dokładnie sprawy z tego jak bardzo trafiał w sedno, przynajmniej w stosunku do mnie. Tege samego jeszcze dnia zostałem zaprzysiężony jako żołnierz Armii Krajowej. Ceremonia ta, właśnie w chwili kiedy wszyscy żyliśmy pod wrażeniem walczącej Warszawy, zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Czułem, że zbliżyłem się jakoś do zagadnień, które tak bardzo leżały nam wszystkim na sercu i znalazłem się w orbicie najważniejszych a zarazem i najdroższych każdemu z nas spraw.

Następne dni wypełnione były goraczkową akcją. Tarnowski po prostu szalał. Było go wszędzie pełno. Instalował laboratorium (studio) do nagrywania, zdobywał materiał do sygnałów, załatwiał sprawy związane z nagrywaniem na płyty szyfrów, uzgadniał z Anglikami transmisje, to znowu z oddziałem operacyjnym kolejność i stopień ważności wiadomości do przekazania, wklócał się o przydział samochodu, dociągał usterki w regulaminie tekstów zapowiedzi, omawiał skuteczność przydzielanych częstotliwości z wielkim specjalistą od tych spraw i nie mniejszym entuzjastą, kapitanem dypl. Adamem Szanserem, później majorem, zastępcą szefa łączności oddziału specjalnego, który dyskretnie usuwał cięższe przeszkody na drodze naszej pracy. Wydawało się, że Tarnowski uparł się w 48 godzin załatwić wszystko to, na co może i miesiąc mógłby nie wystarczyć. Gonilem za nim jak pies z wy-

wieszonym językiem, myśląc, że może jednak kiedyś dobry Pan Bóg się zlituje, Tarnowski wyzionie ducha, a ja znajdę czas na jakiś sandwich i cup of tea, ale jakoś nie zanosilo się na spełnienie moich pobożnych marzeń.

W końcu przyszedł dla nas wielki dzień. Zmęczeni ale i rozbawieni naszymi perypetiami gnaliśmy na złamanie karku za miasto. Przy kierownicy siedziała przemila Lulu w mundurze FANY w którym było jej wyjątkowo do twarzy. Odtąd Lulu miała stać się częścią naszej ekipy, zawsze rozbawiona i skłonna do udziału w szaleństwach zwariowanych Polaków, do których jednak z pewnością bardzo szczerze się przywiązała. Ojciec Lulu, bardzo czcigodny sędzia Sir James Cassels był pewnie zadowolony, że córka jego bierze udział w brytyjskim wysiłku wojennym, choć może niezupełnie rozumiał ekstrawagancję egzotycznych cudzoziemców, którymi ona znów się entuzjazmowała. Teraz Lulu zerkała z aprobatą spod oka na siedzącego obok niej młodego i przystojnego kapitana, mierzając go spojrzeniem. Ona sama była ładna i wysoka. Zapytana niedyskretnie o swój wzrost odpowiadała nieodmiennie, że ma pięć stóp, jedenaste i ... trzy czwarte cala. Nigdy nie przyznawała się do z całą pewnością przekroczonych sześciu. Ale przy wysokim i eleganckim Tarnowskim, jej wzrost podkreślał tylko jej świetną sylwetkę.



Miss Lulu Cassels, mjr D. Tarnowski,
ppor. A. Jalbrzykowski

Okolice Londynu, przez które pędziła teraz szatan-Lulu ciemnozielonym Humberem, dawały pewne odprężenie. Zostawialiśmy poza sobą warkot latających bomb, ich eksplozje i łomot walących się domów, wycie syren, zgiełk miasta i napięcie wyczekiwania na wiadomości, zagłębiając się w angielską wieś z miłymi ogródkami i willami Hartfordshire'u. Tak dojechalśmy do St. Albans, szybko przecięliśmy miasteczko, choć Lulu znacząco napomknęła, że "The Fighting Cocks" (o, właśnie z prawej strony) jest chyba najstarsza oberża na wyspach brytyjskich i znaleźliśmy się w bramie parku lorda Verulam, na terenie starorzyskiego Verulamium. Droga teraz prowadziła pod górę, z lewej strony minęliśmy ruiny jedyne na terenie Wielkiej Brytanii odkrytego rzymskiego amfiteatru i już na wzgórzu ukazał się okazały pałac z frontonem podpartym wysmukłymi kolumnami.

Pałac był naprawdę imponujący. W dużym hallu wisiały portrety przodków lorda Verulam, stanowiące część jednej z największych podobno kolekcji portretów w Wielkiej Brytanii. Siedemnaście z nich malował van Dyck. Z pałacem wiązała się szekpirowska tradycja, tu przecież mieszkał Sir Francis Bacon, choć z jego siedziby pozostały do dziś już tylko ruiny w parku. Ale okazała biblioteka lorda zawierała wiele bezcennych manuskryptów filozofa, jego korespondencję, a tradycja i pewna tajemniczość związana z osobą Szekspira wydawała się ciągle tkwić w spojrzeńcach przodków, którzy teraz może z pewnym zdziwieniem i dezaprobatą patrzyli ze swych bogatych ram na naszą nerwową trójkę zakłócającą im spokój.

Wnet odszukaliśmy milego i młodego angielskiego porucznika łączności Billa Lorda, który zaprowadził nas na radiostację pozostającą pod jego rozkazami i opieką. Była to okazała aparatura zainstalowana w podziemiach pałacu z ogromną anteną zmontowaną na frontowym gażonie. Tego samego jeszcze dnia, a był to 11 sierpień, nadaliśmy o godzinie szóstej po południu pierwszy program rozgłośni Wawer, bo takie imię nadał jej kapitan Dariusz Tarnowski, który musiał w tej chwili chyba czuć się jak ojciec chrzestny nowonarodzonego dziecka. Tak jakoś wypadło, że Lulu mogła spełniać rolę chrzestnej matki, a ja ... no chyba kultywując rodzinne tradycje mogłem wziąć na siebie samą ceremonię obrzędu.

Gorhambury House miał się teraz stać moją siedzibą związaną z losami Wawra. Lord Verulam, dziedziczny członek izby lordów, na której posiedzenia pędził kilka razy w tygodniu swoim Vauxhall'em, oddał swój pałac na czas wojny wojsku, zamieszkując wraz z rodziną w bocznym jego skrzydle. Pałac wypełnił się mnóstwem ciekawych i miłych ludzi. Stał się jakby domem wypoczynkowym i obozem rozdzielczym oficerów, którzy powracali

z kontynentu po wykonanych misjach i czekali na dalsze przydziały. Towarzystwo urozmaicała grupa panien, sekretarek biura War Office, o którym popularnie mówiło się "The Baker Street Joint". Była to siedziba S.O.E. (Special Operations Executive), znajdująca się przy Baker Street, w domu zwanym Montague Mansions. Wydawało mi się zabawne, że ta delikatna instytucja znalazła się właśnie przy Baker Street, powieściowej siedzibie Sherlock'a Holmes'a. Pieczę nad fraucymerem sprawowała Mrs. Gibbons, starsza energiczna matrona, która zajmowała się równocześnie sprawami gospodarczymi pałacu i często załamywała ręce nad oficerami, którzy chodzili raczej samopas.

Zaraz pierwszego wieczoru, kiedy moi towarzysze wyprawy powrócili już do Londynu, zaszedłem do hallu, gdzie zaczęli schodzić się na wieczornego drinka mieszkańcy Gorhambury. Wśród obecnych zauważyłem ciemnego szatyna w mundurze pułkownika z dużą ilością odznaczeń. Sądząc, że jest to najwyższy stopniem oficer, podszedłem do niego i przedstawiłem się. Pułkownik był może trochę zaskoczony, widocznie tego rodzaju gesty nie były tam praktykowane, każdy żył na własną rękę i nie zwracał na nikogo uwagi. Tym niemniej spostrzegłem, że było mu miło, że go w ten sposób wyróżniłem powiedział mi, że nazywa się Bailey i od razu oświadczył, że będzie dla uproszczenia nazywał mnie Andrew, ja zaś mam do niego zwracać się per Bob. Potem wziął mnie pod rękę i zaprowadził do kilku swoich przyjaciół, którym mnie przedstawił. Nie wiedziałem oczywiście jeszcze wtedy na kogo tak odważnie "wdepnąłem". Pułkownik Bailey był w Gorhambury od niedawna. Przyjechał z Jugosławii, gdzie pełnił funkcję oficera łącznikowego przy generale Michajłowiczu. Teraz na skutek zmiany kursu w polityce brytyjskiej, na jego miejsce pojechał syn premiera "Randolph Churchill, ale ten miał spełniać te same funkcje przy marszałku Tito. Bailey poczul do mnie sympatię, często spacerowaliśmy po parku w przerwach pomiędzy moimi transmisjami i opowiadał mi swoje przygody, nie kryjąc się z dużym uznaniem dla Michajłowicza, jego postawy i walk z niemieckim okupantem. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że po wojnie, już w stopniu generała zostanie brytyjskim attache wojskowym w Ankarze i że dzienniki angielskie będą pełne jego wypowiedzi w okresie procesu generała Michajłowicza, które-takie miałem wrażenie- nie zawsze pokrywały się z jego początkowym entuzjazmem.

W tym czasie awansowałem do stopnia podporucznika, Dariusz Tarnowski zaś postąpił na wyżyny majorowskiej godności, przechodząc w ten sposób do grupy oficerów sztabowych. Nie bardzo było mu z tym do twarzy. Jego młodzieńcze usposobienie, werwa, humor i energia jakoś nie bardzo harmonizowały z dostojenstwem

sztabowego oficera. Grupa nasza zaczęła się powiększać. Niedługo po moim debiucie zjawili się Franio Budziński, radiomechanik z "Lwowskiej Fali", potem porucznik Leonard Nowakowski, również Lwowianin z Polskiego Radia. Obydwaj zabrali się od razu do roboty przy nagrywaniu przekazywanych na radiostację wiadomości na płyty. W końcu major Tarnowski znalazł bardzo zabawnego i milego podchorążego Zbyszka Stankiewicza, który zresztą też wnet został podporucznikiem, a z którym od razu zaprzyjaźniliśmy się. Ekipę naszą skompletował jako ostatni przybysz porucznik Stanisław Gędziński, który nieustrudzenie czytał do mikrofonu wiadomości, podczas gdy zapowiedzi początku i końca audycji nagrywane były moim, podobno trudnym do naśladowania głosem. Druga po Lulu osobą naszego zespołu została urocza Brygida, córka angielskiego pułkownika lotnictwa (group captain) i doktora medycyny, Sir Louis Gregg'a wielkiego osobistego przyjaciela zmarłego króla Jerzego V.

Brygida prawie czuła się Polką. Wszystko co nas dotyczyło, cieszyło ją i bolalo na równi z nami. Była świetnym towarzyszem naszych eskapad i bodajże pierwsza FANY w armii polskiej, kiedy wozila generała Sikorskiego. Z dumą nosiła na mundurze naszywki "Poland" co raz doprowadziło do zabawnego qui pro quo. Kupowała coś w jakimś sklepie w Londynie i rozmawiała ze sprzedawczynią swoim naprawdę znakomitym i kulturalnym akcentem. Stojąca obok niej starsza pani zwróciła się do niej z westchnieniem: "Powiedz mi moja droga, jak to możliwe, że tak ładnie mówisz po angielsku? Ja tu mieszkam już od czterdziestu lat, ale daleko mi do twojej doskonałości". Brygida nie zbита z tropu z miejsca odpaliła: "Ach tak, widzi pani, my Polki mamy na ogół dość duże zdolności..." Starsza pani, jak się okazało Węgierka, odeszła kiwając z uznaniem głową.

Pewnego razu jechaliśmy z Brygidą samochodem, padał deszcz i widoczność przysłaniała lekka mgła. Na jakimś skrzyżowaniu ulic posłyszeliśmy dzwon straży pożarnej. Brygida zatrzymała samochód, remiza przejechała i stojący na środku jezdni policjant odwrócił się, dając nam sygnał wolnej drogi. Zanim jednak Brygida zdolała ruszyć, wyłonił się drugi wóz strażacki, policjant odskoczył, ale potknął się i upadł na jezdnię, strażacy zaś popędzili dalej. Teraz stróż bezpieczeństwa publicznego wstał i z godnością, otrzepał płaszcz i podszedł do nas wzywając nas na świadków całego zajścia. Niedługo potem musieliśmy stawić się z Brygidą w sądzie, żeby złożyć zeznania związane z tym incydentem. Byliśmy obydwój w mundurach i usiedliśmy na ławce na której zainteresowani oczekiwali wywołania ich sprawy. Brygida nachyliła się do mnie i wskazała wzrokiem resztę publiczności. Składała się ona prawie przeważnie ze starszych pań, które nakar-

miwszy swe koty i nie mając nic lepszego do roboty biegną do sądu, w nadziei asystowania przy jakiejś sensacyjnej rozprawie. Teraz wzrok ich wszystkich był w nas utkwiony. Wiadomo. Niedobry cudzoziemski oficer zbalamucił jakąś porządną brytyjską dziewczynę napewno z dobrego domu, będzie pikantna sensacja. Brygida oczywiście stanęła na poziomie. Zrobiła od razu bardzo nachmurzoną minę, odwracając się ode mnie bokiem, jakby w ogóle nie chciała mieć ze mną nic do czynienia. Ja ze swej strony starałem się udawać skruchę i smutek. Przed nami toczyły się sprawy o jakieś pijaństwa czy drobne wykroczenia administracyjne, a tymczasem napięcie na sali rosło. W końcu przyszła na nas kolej. Trudno opisać zawód jaki malował się na twarzach publiczności, kiedy po złożeniu zeznań wychodziliśmy z Brygidą z sądu w najlepszej komitywie z czarującym uśmiechem opromieniającym jej twarz.

Innym razem wracałem z Brygidą z St. Albans do Londynu. Ona prowadziła samochód a ja czytałem jej na głos wiadomości z Warszawy podawane przez angielską prasę. W pewnym momencie spojrzalem na Brygidę. Patrzyła twardo przed siebie, ale po jej policzkach spływały łzy.

Jeden z naszych towarzyszy w Gorhambury był utykający trochę na lewą nogę kapitan Bob Head. Wracał z jakiejś skomplikowanej misji w Afryce Północnej gdzie musiał się wycofywać w dość dramatycznych okolicznościach przed nacierającymi wojskami Rómmla. Zamęczał nas wszystkich opowiadaniem o tych wyczynach, podkreślając przy każdej okazji, że był wtedy w stopniu czasowego (acting) podpułkownika. Pewnego razu kiedy przechodziliśmy z Billem Lordem przez park, który otaczał nasz pałac Bill zauważył w krzakach parę starych podartych butów wyrzuconych pewnie przez jakiegoś ogrodnika. Od razu przyszła nam do głowy myśl zrobienia Bobowi kawału. Zapakowaliśmy starannie owe buty w paczkę i papier z pieczęciami War Office, który ostrożnie zdjeliśmy z jakiejś innej przesyłki, zaadresowaliśmy paczkę do podpułkownika Roberta Head w Gorhambury House i załączaliśmy kartkę, że War Office zwraca odnalezione na pustyni buty pana pułkownika, które prawdopodobnie zgubił, pospiesznie wycofując się ze swego ostatniego stanowiska.

Siedzieliśmy właśnie przy kolacji w dużej pałacowej jadalni, kiedy wpadł spóźniony dopiero co przybyły z Londynu kapitan Adams. Paczka nasza leżała na stoliku w przedpokoju, przy wejściu do jadalni, że Adams nie mógł jej nie zauważyć wchodząc na kolację. Wszystko udało się znakomicie. Adams zabrał paczkę zobaczył adres i podał ją siedzącemu przy stole Bobowi, który właśnie opowiadał po raz nie wiadomo już który, siedzącej przy nim Jeremy Bentham swoje pustynne przygody. Kapitan spojrzął

na adres i pieczęcie i twarz rozjaśnił mu rozanielony uśmiech. Rozpakowywał ją powoli delektując się niespodzianką. I nagle jakby zamarił w bezruchu. Przeczytał "list z War Office", potem wolno podniósł wzrok. Rozejrzał się uważnie po pokoju i spokojnie zawyrokował: "Bill and Andrew. Powinienem się domysleć." I roześmiał się głośno wtórując ogólnej wesołości. Okazał się nie tylko typowym Anglikiem, ale i świetnym oficerem intelligence service

Nadawanie wiadomości do Polski odbywało się na "Wawrze" trzy razy dziennie. Pierwsza audycja dnia miała miejsce wcześniej rano, druga w południe, a ostatnia o godzinie szóstej po południu. Na tę właśnie audycję przyjeżdżał zawsze z Londynu program złożony z mniejszej lub większej ilości płyt. Dbaliśmy bardzo o punktualność nadawania każdej audycji, zdając sobie sprawę z warunków w jakich pracowali nasi odbiorcy. Każde najdrobniejsze nawet zaniedbanie z naszej strony, czy minuta spóźnienia mogły spowodować fatalne konsekwencje. Dlatego też program zaczynał się z dokładnością co do sekundy. Do pomocy miałem poza Billem Lordem dwóch angielskich podoficerów. Starszy Jackson był wysokiej klasy radiomechanikiem. On to w czasie nadawania programu zdał sobie w pewnym momencie sprawę z tego, że nadajnik ma jakiś defekt i choć audycja idzie normalnie, lada chwila nastąpi przerwa. Przybiegł do mnie i zaproponował, że przerzuci w trakcie nadawania audycje na drugi rezerwowo nadajnik, który w szalonym pośpiechu właśnie uruchamiał. Kiedy był już gotów, na dany przeze mnie znak, przy jakimś "powtarzam wiadomość" błyskawicznie wyłączył nadajnik i zestroił drugi tak, że cała operacja, która normalnie wymagała kilku minut, tym razem chyba odbyła się w ułamku sekundy. Nasłuchujący Bill Lord nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że zaszło coś niecodziennego. Ale i Jacksonowi raz powinęła się noga. On to najczęściej mnie budził do ранней audycji. Pewnego dnia jakos obudziłem się sam i myśląc, że jeszcze mam czas sięgnąłem po zegarek. Wyskoczyłem jak oparzony z łóżka i narzuciwszy płaszcz na piżamę pognąłem na stację. Brakowało dwóch minut do wyjścia "w eter", a Jacksona nie było. Razem z zaspanym Pickeringiem zastępca Jacksona jakos uruchomiliśmy nadajnik. Mieliśmy niesamowite szczęście, bo żaden z nas właściwie nie znał się na tych sprawach tak dobrze jak Bill czy Jackson i z opóźnieniem dwóch sekund nadaliśmy sygnał. Odetchnęliśmy z wielką ulgą, kiedy wskazówki na zegarach się poruszyły i audycja poszła na antenę. W kilka minut później wpadł na stację Bill. On też sam się obudził i przeraził zdając sobie sprawę z tego co się dzieje. Audycja tym razem była krótka i po godzinie wróciłem do siebie, żeby się ogolić i wejść pod tusz. Schodząc na

śniadanie wstąpiłem jeszcze raz na stację, żeby się dowiedzieć, co się stało? Bil wskazał mi okno, przez które widać było biednego Jacksona zamiatającego na dziedzińcu śmiecie z nosem spuszczonej na kwintę. Okazało się, że Jackson po prostu zaspał a Bill zareagował szybko. Z trudem udało mi się przekonać Billa żeby odwołał swój surowy wyrok. Oświadczył, że robi to tylko ze względu na moje wstawiennictwo.

Dołączenie do nas Zbyszka Stankiewicza odciążało mnie trochę i pozwoliło na urozmaicenie mojej pracy zajęciami na odcinku londyńskim. Wyrećczałem teraz majora Tarnowskiego w cenzurze płyt "na Baker Street", gdzie przyjmowała je i przesłuchiwała nasza miła przyjaciółka Susan Gardyne, córka szkockiego brygadiera, która nauczyła się doskonale mówić po polsku, uprzednio-jak szeptano- zakochawszy się jeszcze w Szkocji w jakimś Polaku. Po wojnie wyjechała do Warszawy do tamtejszej brytyjskiej ambasady. Widywałem ją jeszcze później, kiedy przyjeżdżała na urlopy do Londynu. Poza Susan, "na Baker Street" było jeszcze dwóch oficerów, którzy zupełnie poprawnie mówili po polsku, a to podpułkownik Perkins i major Pickels. Podobno znał też polski język tajemniczy szef S.O.E., general Gubbins, który przed wojną był kilka lat w Warszawie w attachacie wojskowym. Z tego też tytułu miał sobie powierzone zaplanowanie brytyjskiej armii podziemnej, która miała powstać w wypadku gdyby Niemcom miała udać się inwazja. Generała poznałem w dość zabawnych okolicznościach.

Niedaleko od St. Albans było kilka baz przyszłych skoczków spadochronowych tzw. "Cichociemnych", którzy po przebyciu wyszkoleniu czekali w tych specjalnych obozach swej kolejki zrzutów. Tam też odbywały się od czasu do czasu wieczorne przyjęcia. Z Gorhambury zabieraliśmy często po kolacji kilka "naszych" pań i jeździliśmy samochodem na te okoliczne bazy, zapraszani przez gospodarzy. Raz, a było to nie długo po Bożym Narodzeniu, wybraliśmy się z Billem i kilkoma towarzyszami na taką stację. Dziś już nie pamiętam jak nazywał się ani gdzie znajdował się pałacyk w którym miało odbyć się przyjęcie. Wjechaliśmy do parku, który go otaczał i zatrzymaliśmy się przed wejściem. Z wewnątrz dochodziły dźwięki jakiegoś zwariowanego szkockiego tańca granego na przeraźliwie piszczących kobzach. W hallu otoczony gronem młodzieży skakał w szalonym tańcu brytyjski generał w skarpetkach i bez butów. Był to właśnie generał Gubbins, który był już tak dalece "pod dobrą dętą", że tańczył dosłownie do upadłego, nie wiedząc, że stojący przy gramofonie złośliwie uśmiechnięty generał Tatar, gdy tylko płyta się kończyła, błyskawicznie przerzucał adapter na jej początek.

Te chwile odprężenia były nam bardzo potrzebne dla rozładowania napięcia jakie wywoływała nasza praca. Płyty z nagranyimi wiadomościami przywoził początkowo Dariusz Tarnowski, który zwykle zjawiał się w Gorhambury przed szóstą, kiedy to miała iść w eter nowa audycja.

Zdarzyło się raz, że w ostatniej chwili, kiedy wszystko było już gotowe do nadawania, kilka płyt szklanych spadło na podłogę i rozbiło się. Na szczęście oprócz płyt przywożono na stację również i maszynopis tekstu. Pomimo zdenerwowania szybko usiadłem przy mikrofonie i odczytałem całą przeszło godzinną audycję. Trudno mi opisać mój stan wycieńczenia w jakim się znalazłem odczytując miarowym głosem, któremu starałem się nadać pozory spokoju, setki grup cyfrowych, w których przecież nie mogłem się pomylić ani nawet zająknąć. Tekst nagrany na płyty zawsze sprawdzano i po wykryciu jakiegokolwiek pomyłki powtarzano nagranie. Można było też w razie zmęczenia speakera przerwać robotę i powrócić do niej nieco później. Nic z tego nie wchodziło teraz dla mnie w rachubę. Pod koniec długiej wiadomości cyfry zaczęły mi już skakać przed oczyma i musiałem wyteńczyć wzrok do ostateczności, żeby czegoś nie poplątać. Każda pomyłka mogła zniekształcić szyfr, o którego treści nie miałem oczywiście pojęcia, ale od którego mogły zależeć ludzkie życia. Dobrnąłem jakoś do końca, kiedy Pickering, wiedząc, że muszę jeszcze wiadomość powtórzyć, postawił przede mną szklanke zimnej wody. Chyba nigdy przedtem ani potem zwykła woda nie wydawała mi się tak cudownym napojem jak właśnie wtedy. »

Dariusz Tarnowski doceniał pracę moich angielskich towarzyszy i z początkiem roku 1945 zorganizował uroczystość, którą zdobył sobie ich bez reszty. Zajechał pewnego przedpołudnia na stację przywożąc ze sobą niesłychanie reprezentacyjnego pułkownika Hartmanna z oddziału specjalnego sztabu N.W. którego wspinała sylwetka w okresie kiedy pełnił jeszcze funkcję adiutanta prezydenta Mościckiego była niemal że legendarna. Pułkownik z ogromną pompą udekorował Billa i jego dwóch podoficerów odznakami Polskich Wojsk Łączności. Uroczystość ta na długo wszystkim trzem pozostanie w pamięci.

Zbyszek Stankiewicz szybko dostosował się do atmosfery panującej na Wawrze. Oral jak koń, kiedy trzeba było robotę przywoicie wykonać. Umiał przypilnować każdego drobiazgu, nic nie mogło ująć jego czujności i uwadze. Ale miał i swój zupełnie swoisty dowcip. Opowiadał mi major Tarnowski o jednym jego wyczynie. Tak się złożyło, że przypadł mu w udziale dyżur w dniu w którym uzbierało się dużo wiadomości do nadania i audycja zapowiadała się na przynajmniej trzy godziny. Zbyszek niewiele myśląc a wiedząc że lada chwila zawita na stację major Tarnow-

ski, wykaligrafował sliczny napis "Zajob" i wywiesił go nad drzwiami studia. Tymczasem jednak zajechał na inspekcję brytyjski generał Nichols. Anglików bardzo interesował wyczyn majora Tarnowskiego, widzieli w nim bardzo pozytywny i ciekawy eksperyment, co do którego nie mieli żadnych wątpliwości, że może oddać bardzo wielkie usługi. Nicholsonowi towarzyszył z ramienia naszego sztabu płk. inż. Krzyczkowski. generał zatrzymał się przed studium i zaczął odczytywać napis Zbyszka, pytając pułkownika co on oznacza. Pułkownik nie stracił rezonu i oświadczył, że to taki w wojsku używany zwrot, który oznacza że "jesteśmy zajęci, nie przeszkadzać", ot coś mniej więcej w tym sensie. "How very practical" zawyrokował generał, widząc ile w tym krótkim słowie można "po polsku" wyrazić. I kiedy właśnie w tej chwili pojawił się major Tarnowski z nową porcją płyt, generał przywitał go a wskazując drzwi studia zmarszczył brwi i powiedział już zupełnie poprawnie i dobitnie "Zajob".

Ale najbardziej utkwiło mi w pamięci wydarzenie, które spowodowało, że właśnie teraz, po tylu już latach usiadłem do maszyny i postanowiłem odświeżyć wspomnienia z Gorhambury.

Syn lorda Verulam, wicehrabia Grimston ożenił się ze śliczną kobietą, o której tylko wiedzieliśmy, że pochodziła gdzieś z Południowej Ameryki. Jej portret malowany przez bardzo wówczas modnego w Anglii Laszlo, wisiał w palacu odciągając swą pięknoscia oczy od sędziwych van Dyck'ow lorda. Oni to właśnie mieli dwie małe córeczki, które często bawily się w parku czy na gazonie. I na tym gazonie ich urocza matka zgubiła raz swój pamiątkowy pierścionek, przechodząc przez odgródzone od reszty zjazdu pole antenowe.

Kiedy się ma dwadzieścia trzy lata, wpadają człowiekowi do głowy czasem zupełnie niecodzienne pomysły. Jakoś tak sobie właśnie wymyśliłem, że nadarza się sposobność urzędzenia doskonałego przedstawienia. Zatelefonowałem do moich przyjaciół w Stanmore, gdzie m.in. mieścily się warsztaty łączności i poprosiłem o przysłanie mi polskiego wykrywacza min, niedawno przed tym wynalezionego przez mojego byłego wykładowcę z podchorążówki, kapitana inż. Kosackiego. W godzinę później nadjechała z Stanmore mała półciężarówka, z której wysiadł zamaszysty sierżant łączności z aparatem Kosackiego.

Przed pałacem zebrało się okazałe audytorium: Wszystkie panny, moi koledzy oficerowie, W bramie do bocznego skrzydła ukazał się sam lord Verulam z synem, podczas gdy piękna hrabina Grimston została zaproszona do wskazania drogi, która przechodziła przez pole antenowe. Pomimo ogromnego zaufania, jakie zawsze żywiłem do mojego genialnego wykładowcy, przyznam, że w duchu gwałtownie pertraktowałem ze świętym Antonim. Obok

tego diabelskiego ogarka jakim była dla mnie maszyna Kosackiego, wolałem jednak i Panu Bogu postawić świeczkę.

Przeszło godzinę trwało napięcie. Maszyna piszczała bez przerwy w słuchawkach naszego sierżanta, do jak się okazało gazon był uprzednio polem cricketowym i aparat skrupulatnie rejestrował każdy zgubiony gwóźdź od cricketowego buta, a tych było całe mnóstwo. W końcu kiedy już siódme poty były mi na czoło, znalazł się pierścionek. Kosacki przeszedł do historii Gorhambury, święty Antoni zarobił świeczkę, a ja zaproszenie na specjalne przyjęcie u lordostwa.

To właśnie na tym przyjęciu siedziałem naprzeciwko małej Mary Ann.

(Pisane w 1960 r.) .

Tadeusz Lisicki

ELEKTRONIKA W SŁUŻBIE ZAPLECZA

W listopadzie 1977r. odbyło się sympozjum pt. "Organizacja tyłów i zagadnienia kwatermistrzowskie w nowoczesnej wojnie", które w Londynie organizowało Koło Oficerów Dyplomowanych na Obczyźnie. Z ramienia Związku Łącznościowców "Elektronika w służbie zaplecza" wygłosił ppłk. dypl. inż. Tadeusz Lisicki. Wypowiedź tę podajemy w skrócie - Red.

Wykorzystanie w zagadnieniach kwatermistrzowskich dwu zasadniczych możliwości komputerów: przetwarzanie danych i ich przechowywanie pozwala na wyeliminowanie czynności pracochłonnych a przez to informowanie dowódcy szybko i dokładnie o stanie materiałowo-technicznym podległych mu wojsk.

Zaplecze materiałowo-techniczne w związku z przemianami pola walki stało się obecnie jednym z najtrudniejszych zadań. Zużycie środków materiałowych w walce i manewrze oraz rola kwatermistrzowska w porównaniu do niedawnych nawet wojen, jak np. Wietnamska, stale wzrasta. Jednocześnie zaś okresy planowania i wykonywania wszystkich czynności zaopatrzeniowych i zabezpieczenia medycznego wojsk stale się skracają. Przyszła wojna, która może być ultrabłyskawiczna, wprowadzenie nowych broni, takich jak bronie laserowe czy taktyczno-nuklearne wpłynęły na zmianę systemu pracy organów zaplecza. Organy te zmuszone są do operowania w swoich planach i obliczeniach ogromnymi ilościami części zapasowych dziesiątkami różnych paliw i smarów oraz wieloma rodzajami amunicji, przedmiotów wyposażenia, materiałów i przedmiotów zaopatrzenia.

Po wprowadzeniu komputerów do tyłowych organów sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych⁽¹⁾ stwierdzono, że np. zwykły samochód ciężarowy ma przeszło cztery tysiące różnych części zamiennych, a czołg ponad 6000 takich części. Stąd ogólna ilość części zamiennych potrzebnych do działania skomplikowanych broni, służb technicznych i kwatermistrzowskich obejmuje ponad ćwierć miliona różnych "Jednostek". W sumie według ocen amerykańskich ogólna liczba wszystkich "jednostek" ewidencyjno-zaopatrzeniowych obejmuje przeszło milion nazw.

(1) Wykład jest głównie oparty o źródła amerykańskie.

We współczesnych warunkach wojennych tyły zmuszone są do wykonywania swego zadania w krótkim czasie i w pełnym zgraniu z szybko zmieniającą się sytuacją bojową. Pouczająca jest następująca statystyka z ostatniej wojny światowej, przy ówczesnych metodach planowania i wykonania, oraz kontroli w armii amerykańskiej od czasu zapotrzebowania przez jednostki frontowe, podsuniecie tych zapotrzebowań w kierowniczych organach szczebla operacyjnego, a następnie dostarczenie materiałów i sprzętu jednostkom upływało 2-3 tygodni. Jednocześnie obliczenia wskazują, że 80% czasu zajmowały prace związane z obliczeniami i wystawianiem dokumentów oraz przechodzenie ich poprzez poszczególne szczeble, a tylko 20% czasu zajmowało ich wydanie i dostawa. Inna ciekawą statystyką jest stosunek w jakim wyszkolenie wojska wpływa na zmniejszenie zapotrzebowania na części zapasowe i inne materiały. Im więcej skomplikowany jest sprzęt bojowy i broń, tym więcej uszkodzeń przy złym wyszkoleniu, co z kolei powoduje zwiększenie pracochłonności i częstotliwości napraw.

W związku z nowymi środkami masowego rażenia wzrosło znacznie zabezpieczenie medyczne działań bojowych, przez co należy rozumieć nie tylko usuwanie skutków uderzeń broniąmi nuklearnymi, ale także przywrócenie do gotowości największej liczby rannych oraz porażonych środkami radioaktywnymi.

We współczesnych warunkach organy tylowe muszą wykonywać duże prace obliczeniowe przy przygotowaniu działań, szczególnie o ile towarzyszy temu przegrupowanie jednostek. Jedną z dróg zwiększenia szybkości zaopatrzenia wojsk zgodnie z potrzebami nowoczesnej wojny jest droga automatyzacji procesów kierowania tyłami oraz zaopatrywanie wojska. Wprowadzenie procesów automatyzacji do pracy organów tyłowych odbywało się w armii amerykańskiej stopniowo, od automatyzacji oddzielnych operacji przechodzących do automatyzacji całych kompleksów czynności obliczeniowych a maszyny liczące i karty perforowane zostały zastąpione komputerem.

Wydawać by się mogło, że zadania obliczeniowe w dziedzinie kwatremistrzowskiej są stosunkowo proste i raczej sprowadzają się do czterech działań arytmetycznych. Mimo to, tych zadań nie można rozwiązywać bez uwzględnienia i analizowania wielu całkowicie określonych czynników i warunków takich jak: zadania bojowe wojsk, ich ugrupowanie, schemat rozmieszczenia składnic baz, szpitali, przepustowość wszystkich rodzajów dróg komunikacyjnych, stopień zabezpieczenia wojsk od broni masowego rażenia oraz możliwe straty

Niektóre zadania tylowe wymagają rozwiązań, w których komputery mogą pewne prace wykonać znacznie szybciej i dokładniej. Do takich mogą np. należeć: określenie najbardziej racjonalnego wykorzystania poszczególnych rodzajów transportu, podział rannych według rodzaju ran, planowanie ewakuacji rannych ze względu na potrzeby leczenia. Z tych względów Amerykanie zdecydowali się na zautomatyzowanie całego systemu zaopatrzenia. Zakładano przy tym, że znajdujące się w ogniwach tyłowych i sztabach różne wyspecjalizowane komputery zostaną połączone w jednolity system za pomocą współczesnych środków łączności. Dzięki tak pomyślanemu systemowi nadrzędny organ tyłowy, planujący zapewnienie materiałowo-techniczne i sanitarne wojsk w planowanej operacji, będzie mógł zawsze otrzymywać pełne dane odnośnie stanu zaopatrzenia każdego oddzielnego związku taktycznego lub operacyjnego.

Przy opracowywaniu kompleksowego systemu automatyzacji kierowania tyłami Amerykanie przyjęli następujące zasady:

- automatyzacją muszą być objęte jak najszersze kompleksy procesów i operacji komputerowych a nie oddzielne rodzaje prac czy też poszczególne ogniwa operacji,
- metody i środki otrzymywania i przekształcania informacji nadchodzących od obiektów kierowanych i od organów kontrolujących, jak i wyposażenie techniczne systemu automatyzacji powinny być standardowe i zunifikowane,
- najnowsze metody analizy matematycznego programowania oraz najnowsze metody automatyzowania wszystkich procesów obliczeniowych powinny być użyte i ciągle ulepszane.

Specjaliści amerykańscy uważają, że zautomatyzowany system tyłowy powinien objąć automatyzację prawie wszystkich operacji zaopatrzeniowych, poczynając od systemu kontroli zapasów materiałowych w składnicach i bazach, a kończąc na systemie organizacji dostaw tych materiałów do miejsca składowania łącznie z przechowywaniem i rozdziałem.

Jak w większości armii europejskich tak i w armii amerykańskiej najpierw wprowadzono komputery na najwyższych szczeblach od ministerstwa obrony począwszy, a następnie stopniowo do szczebli niższych, aż do grupy bojowej włącznie (brygady), z tym, że pewne specjalne komputery sięgają aż do szczebla baterii czy kompanii czołgów np. odnośnie stanu amunicji i paliwa.

Dostosowanie jednolitego systemu w tak szerokim zakresie pozwoliło na:

- bardziej scentralizowane kierowanie pracą organów zaopatrzenia,
- zwiększenie dokładności planowania,
- znaczne zmniejszenie zespołów zaopatrzeniowych kosztem zmniejszenia rezerw i niewykorzystanych nadwyżek.
- duże zmniejszenie strat wynikających przy dostawach kosztem dokładniejszego planowania transportu,
- znaczne zmniejszenie personelu obsługującego, szczególnie administracyjnego i ewidencyjno-księgowego.

Wszystkie wojskowe organy tylowe, jak wspomniano uprzednio, zostały wyposażone w komputery, które zostały włączone do sieci łączności i połączone za jej pomocą ze składnicami i bazami zaopatrzenia. Za pośrednictwem sieci łączności przekazywane są automatycznie dane o stanach i obrotach przedmiotów zaopatrzenia, dane te są przetwarzane i przechowywane, dając w każdej chwili aktualny obraz stanu zaopatrzenia.

Komputer przy wystawianiu zapotrzebowania na takie czy inne przedmioty zaopatrzenia wykonuje automatycznie następujące operacje:

- sprawdza prawidłowość wykonania wejścia odnośnie danego zapotrzebowania i czy spełnione zostały wymagania wynikające z programu. Pozwoli to na uniknięcie takich pomyłek, jak np. w czasie powstania śląskiego, dowódca radiostacji ppor. J. Grajkowski (w ostatniej wojnie dowódca łączności I Dywizji Pancerniej) zapotrzebował tzw. "śledzie", czyli kołki odciągowe do linek umocowanych maszt antenowy - otrzymał całą beczkę prawdziwych śledzi. Przy dobrze zaprogramowanym komputerze, każdy rodzaj "śledzi" posiada odrębną nazwę w języku komputerowym,
- wykonuje w stosunku do zapotrzebowania wszystkie niezbędne czynności w wyniku których jednostka zapotrzebująca otrzymuje asygnatę, a składnica polecenie wydania,
- dokonuje odpowiednich zakisgowań dotyczących materiałów pozostałych do dyspozycji.

W rezultacie wymienionych operacji ogólna liczba przedmiotów o danej nazwie zmniejsza się o liczbę wydanych jednostek. W główną pamięć komputerową zostaje wpisana odpowiednia informacja z wartością pieniężną wydanych materiałów włącznie. Po wykonaniu tych czynności komputer opracowuje odpowiedni wykaz, który drukuje na papierze. Wykaz ten może być wykorzystany do celów kontrolnych przez różne oddziały służby tylów.

Cały proces działania zautomatyzowanego systemu kwatermistrzowskiego przebiega w następujący sposób. Wszystkie zapotrzebowania na przedmioty zaopatrzenia, a więc na materiały i wyposażenie są wprowadzone do komputera przez np. oficera kwatermistrzostwa brygady. Szczególną uwagę należy zwrócić na dokładność i poprawność zapotrzebowania, gdyż zapotrzebowania te nie są sprawdzane w dalszej drodze zautomatyzowanego systemu.

Aby uniknąć nagromadzenia części zapasowych i t.p. w magazynach oddziałów czy jednostek, najpierw sprawdza się, czy istnieje możliwość zrealizowania zapotrzebowania z posiadanych lokalnych zapasów. W przypadku gdy potrzebne materiały znajdują się w magazynie lokalnym, zapotrzebowanie realizuje się na miejscu. Jeśli nie ma natomiast poszukiwanego przedmiotu w magazynie miejscowym, wówczas komputer na danym szczeblu zaopatrzenia rejestruje zapotrzebowanie na brakujący przedmiot w pamięci (rejestrze). Wszystkie zapotrzebowania są automatycznie przekazywane do ośrodka kontroli zapasów na szczeblu armii polowej. Zapotrzebowania nadchodzące od pododdziałów zaopatrzeniowych jednostek i związków są porównywane przez komputer z zarejestrowanymi w jego pamięci stanami i wykazami przedmiotów zaopatrzenia, które są przechowywane w składnicach armijnych. Zapotrzebowania na przedmioty znajdujące się w wykazach przedmiotów uzupełniających, które znajdują się w składnicach poszczególnych służb technicznych, są automatycznie przekazywane do komputerów odpowiednich składnic. W tym etapie istnieje możliwość zrealizowania zapotrzebowania drogą zakupu ze środków miejscowych lub zamówienia w miejscu rozmieszczenia organów zaopatrzeniowych armii.

Komputer wystawia systematycznie zapotrzebowania na uzupełnienie zapasów przedmiotów magazynowanych w składnicach armii i przekazuje te zapotrzebowania do szczebla wyższego przeważnie już do składnic w Stanach Zjednoczonych. Przekazywanie odbywa się za pośrednictwem oddziału kontroli zaopatrzenia zamorskich teatrów działań wojennych, który dysponuje komputerem uniwersalnym o bardzo dużej pojemności. Komputer ten wystawia także zapotrzebowania, które nie są przechowywane w składnicach armijnych.

Do ośrodka kontroli zaopatrzenia armii polowej w ciągu jednej doby może wpłynąć około 10 000 zapotrzebowań pochodzących z jednostek i pododdziałów służby zaopatrzeniowej. Z tej liczby prawie 90% jest zrealizowanych przez składnice armijne, pozostałe zaś zapotrzebowania kieruje się do Stanów Zjednoczonych w celu realizowania ich w formie dostaw drogą lotniczą. Ponadto komputer wystawia ponad 2 000 zapotrzebowań, które do-

tyczą odtworzenia zapasów armijnych. Te zapotrzebowania również przekazywane są do baz macierzystych.

Na terytorium Stanów Zjednoczonych nadsyłane zapotrzebowania są wprowadzane do komputera służby zaopatrzenia zamorskich teatrów działań wojennych. Wymieniony komputer dokonuje sortowania nadesłanych zapotrzebowań według rodzajów służb technicznych i rozdziela automatycznie poszczególne zapotrzebowania do właściwych składnic.

Przy takim zautomatyzowanym systemie zaopatrzenia, na podstawie przeprowadzonych obliczeń i potwierdzonych grą wojenną, pełny cykl dostawy przedmiotów zaopatrzenia, znajdujących się w składnicach armii wynosi około tygodnia, poczynając od momentu wystawienia zapotrzebowania do momentu realizacji dostawy. Na podstawie pozostałych przedmiotów, nie znajdujących się w magazynach armii przewiduje się okres do dwu tygodni celem realizacji dostawy. Dla porównania można tu podać, że przed zautomatyzowaniem amerykańskiego systemu zaopatrzenia średni okres realizacji zapotrzebowania wynosił około 3 miesiące, licząc znów od dnia wystawienia zapotrzebowania do nadejścia zamówionych ładunków do składnic zamawiającego.

Zautomatyzowany system zaopatrzenia obejmuje wszystkie elementy zabezpieczenia materiałowo-technicznego a szczególnie:

- wystawienie zapotrzebowań, sprawozdań i podobnej dokumentacji.
- doprowadzenie treści tych dokumentów do wiadomości właściwych organów.
- ewidencje przechowywania, składowania, opakowania, ładowania, inwentaryzacji, transportu i kontrolowania w zakresie nazw sprzętu i części zamiennych.

Gra wojenna o której poprzednio wspomniano została przeprowadzona przed dwoma laty. Obejmowała zaopatrzenie armii polowej w zakresie zabezpieczenia materiałowo-technicznego jednej armii w ciągu jednego miesiąca działań, w środki medyczne, sprzęt, materiały kwatermistrzowskie, amunicję i td.

W czasie tej gry uruchomiona została cała sieć łączności oraz wszystkie szczeble zaopatrzenia do batalionu włącznie. Przed rozpoczęciem gry do komputerów zostały wprowadzone wszystkie dane dotyczące stanów środków materiałowo-technicznych, zapasów, braków materiałowych i inne informacje. W tym samym okresie przygotowawczym do komputera zostały wprowadzone wszystkie zapotrzebowania oraz rozdzielenie tych zapotrzebowań do odpowiednich składnic. Po dokonaniu tych czynności przygotowawczych cały system funkcjonował automatycznie w oparciu o łączność wszystkich jednostek, związków i składnic, wypełniając swoje zadania wynikające z przebiegu sytuacji na polu walki.

Wnioski wyciągnięte z tej gry były następujące:

- system przyspieszył czynności wykonywane w tyłowych punktach zaopatrzenia w zakresie rozdziału środków materiałowych oraz przyspieszył różnorodne obliczenia tyłowe kosztem skrócenia czasu przetwarzania danych,
- zmniejszona została ilość omyłek,
- system w pełni podolał wzrastającym potrzebom w zakresie zabezpieczenia materiałowo-technicznego jednostek walczących.

Oprócz obliczeń tyłowych i przetwarzania informacji tyłowych zrealizowano przy pomocy komputerów w czasie tej gry również obliczenia z zakresu:

- skażenia radioaktywnego terenu,
- rozdziału ewakuowanych i chorych,
- ewidencji i kontroli majątku nieruchomego,
- ewidencji i kontroli przechodzenia jeńców i uciekinierów,
- rozdziału paliwa,
- ewidencji i porządkowania mogił,
- kontroli przewozów.

Tak w ogólnym zarysie przedstawia się nowoczesny zautomatyzowany system zaopatrzenia. Aby system ten mógł dobrze pracować oficerowie sztabów a szczególnie kwatermistrzostwa muszą gruntownie opanować posługiwanie się komputerami.

P.S. W czasie dyskusji padło pytanie czy łączność radiowa może zapewnić sprawne działanie tego dość skomplikowanego systemu i czy nieprzyjaciel będzie mógł na przykład zagłuszyć lub przeszkodzić w pracy radiostacji? Odpowiedź jest: przy obecnym stanie techniki poza bardzo specjalnymi przypadkami, jest to niemożliwe.

Łączność w obronie Westerplatte

(Nasze Sygnały Nr.119, wrzesień 1969r.)

Fragment pracy "Łączność w działaniach wojennych na Polskim Wybrzeżu Morskim we wrześniu 1939r."

Gdy prace saperские nad umocnieniem Westerplatte ukończono, z Inspektoratu Saperów Sztabu Głównego został w 1937r. delegowany por. łączn. W. Grott z zadaniem zrobienia planu łączności dla terenu Wojskowej Składnicy Tranzytowej.

Po zapoznaniu się na miejscu z warunkami i zadaniem obrony - nie dać się zaskoczyć - projektodawca przedstawił plan przewidywany założenie sieci telefonicznej i sieci sygnalizacyjno-alarmowej. Plan został zatwierdzony i por. łączn. W. Grottowi powierzono nadzór nad jego wykonaniem. W lecie 1938r. prace były zakończone i instalacje zostały przekazane do użytku załogi. Ze względu na możliwość obserwacji z zewnątrz prace kopania rowów dla kładzenia kabla mogły być wykonywane tylko nocą. Kopanie rowów i prace pomocnicze wykonywali żołnierze załogi, zaś łączenie kabla i instalacje specjaliści.

Przy budowie schronów nie przewidziano kładzenia kabla podziemnego i nie było zostawionych otworów na wyprowadzenie kabla. Plutonowy saperów wybijał ręcznie łomem otwory w grubych ścianach betonowych. Aby nie zwracać uwagi niemieckiego podsłuchu, że coś się robi, należało ograniczyć hałas do minimum. To się odbiło na wykonaniu wyprowadzeń kabla ze schronów zwłaszcza ze schronu głównego (1)

O p i s i e c i . Połączenia były wykonane kablem wieloparowym, opancerzonym drutem stalowym i zakopanym na głębokość jednego metra. Kabel łączył koszary z pięcioma wartowniami oraz sąsiednie wartownie ze sobą, tzw. połączenia rokadowe. W razie alarmu bojowego łącznice (L. P. 10) były przygotowane do przeniesienia do schronów znajdujących się pod wartowniami.

(1) Relacja mjr. dypl. łączn. W. Grotta. 1964.

Jeśli chodzi o system alarmowy, to poprzedni projekt przewidywał zastosowanie systemu używanego przy zabezpieczaniu biur i banków. Był on bardzo kosztowny i przekraczał wielokrotnie przewidywany ryczałt. Wybrano system tańszy, już wypróbowany w innych rejonach fortyfikacyjnych.

Sieć sygnalizacji alarmowej była oparta na tych samych kablach podziemnych co i telefon, ale miała swoje odrębne obwody, zasilana była prądem własnej elektrowni polowej. Specjalnie skonstruowane aparaty alarmowe (sygnał świetlny i akustyczny) zainstalowane były na wszystkich wartowniach i w pokoju służbowym. Z pokoju służbowego mógł być zarządzony alarm dla całej załogi. Sieć alarmowa była dwustopniowa: 1. jednokierunkowa od posterunków do wartowni, 2. dwukierunkowa pomiędzy wartowniami a pokojem służbowym.

W dniu 1.9.1939r. w momencie ataku na Westerplatte, Niemcy wysadzili w powietrze mur otaczający Składnicę. Czujka mająca za zadanie obserwację wartowni Schupo nadała sygnał alarmowy na wartownię Nr.1. Z pokoju służbowego została zaalarmowana cała załoga na wartowniach i w koszarach.

Instalacja alarmowa zdała egzamin.

Centrala telefoniczna posiadała połączenie z miastem, na tej linii policja gdańska prowadziła podsłuch rozmów telefonicznych Westerplatte - Generalny Komisariat R. P. w Gdańsku.

W momencie niemieckiego ataku na Westerplatte radiostacja Hel otrzymała sygnał (radiodepeszę): "S. O. S. jestem atakowany"

Westerplatte była wyposażona w radiostację nadawczo-odbiorczą krótkofalową. Radiostacja ta pracowała do dnia 2.9.1939r. W nocy z 1/2 września 1939 została odebrana ostatnia depecha z D-twa Lądowej Obrony Wybrzeża zawierająca biuletyn sytuacyjny z walk nad polskim morzem. Następnie został nadany ostatni meldunek sytuacyjny obrazujący położenie po pierwszym dniu walki. (2)

W dniu 2.9.1939r. po godz. 17.00 silny nalot samolotów nurkujących uszkodził radiostację i przerwał kabel telefoniczny podziemny przy wylocie z centrali oraz poprzerywał kabel w terenie Wartownia V. została zniszczona. Obsługa nie była w stanie naprawić zniszczonej sieci kablowej. Po nalocie spodziewając się ogólnego szturm dowódca zarządził spalenie tajnych akt i szyfrów.

(2) F. Dąbrowski; Obrona Westerplatte. 1957.

Sieć telefoniczna z nastaniem nocy została odbudowana przy pomocy kabla telefonicznego polowego, który był bardziej narażony na uszkodzenia. Toteż po każdym dniu walki z nastaniem nocy rozpoczynała się praca patroli naprawczych. I dopiero po naprawieniu zerwanych połączeń napływały meldunki sytuacyjne z poszczególnych wartowni i placówek.

W ciągu dnia w momentach krytycznych niezawodnym środkiem łączności był goniec pieszy.

Wartownie były wyposażone w rakiety i rakietnice. Używano je jednak tylko do oświetlenia przedpola.

Po zniszczeniu szyfrów zerwała się łączność radiowa z Helem. Sierż. Rasiński widocznie naprawił radiostację, bo w ciągu następnego dnia obsługa nadawała tekstem otwartym, ale Hel nie odpowiadał (3)

Po kapitulacji Gestapo gdańskie zabrano jednej nocy na przesłuchanie dowódcę radiostacji sierż. łączn. K. Rasińskiego, z którego nigdy nie wrócił, ślad po nim zaginął, prawdopodobnie zamordowany za odmowę zdradzenia szyfrów.

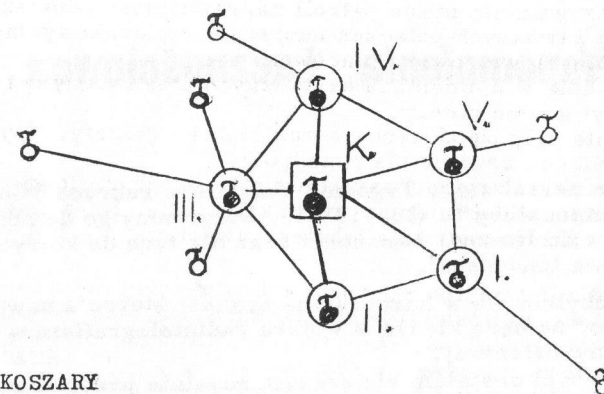
Obsługa radiostacji prowadziła na odbiorniku fonicznym nasłuch audycji rozgłosni polskich i zagranicznych. W ten sposób dowódca Westerplatte był informowany o sytuacji ogólnej. Wiadomość o wypowiedzeniu wojny przez Anglię i Francję, komunikaty Polskiego Radia jak: "Westerplatte jeszcze się broni" i "Naczelnny Wódz pozdrawia bohaterską załogę Westerplatte" były podawane telefonicznie do poszczególnych punktów oporu. Wzbudzały one zrozumiały entuzjazm, który był ważkim zastrzykiem uodporniającym przeciwko wyczerpaniu w walce.

Tak było do ostatniego dnia bohaterskiej obrony Westerplatte. W dniu 7.9.1939r. po wzięciu decyzji o kapitulacji mjr. H. Sucharski zarządził telefonicznie i przez gońców zbiórkę załogi w koszarach

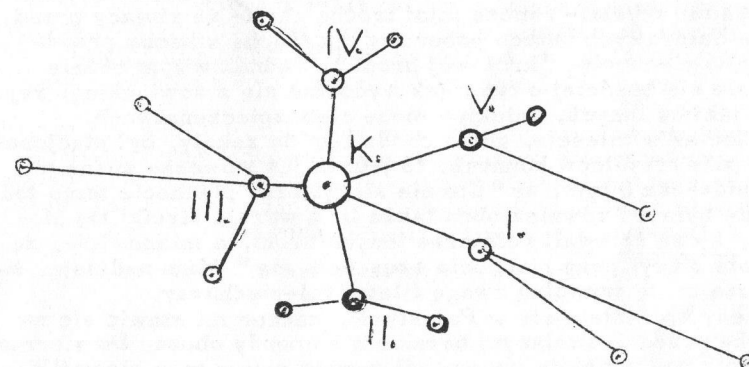
Brak łączności z przełożonym od dnia 2.9.1939r. zaważył bez wątpienia na czasie trwania obrony. Dowódca Westerplatte nie miał do kogo odnieść się w momencie pobierania trudnej decyzji: kapitulacji. Był on całkowicie osamotniony, bowiem jego zastępca kpt. F. Dąbrowski był raczej za kontynuowaniem oporu.

(3) Z. Flisowski: Westerplatte (relacje) 1968.

SCHEMAT POŁĄCZEŃ TELEFONICZNYCH NA WESTERPLATTE



- K — KOSZARY
- I, II, III, IV — WARTOWNIE
- ⊖ — PLACÓWKI
- ⊙ — POSTERUNKI



SIEĆ SYGNALIZACYJNO-ALARMOWA NA WESTERPLATTE

Mgr. Józef Szkudłapski

Wspomnienia łącznościowca

(Artykuł ten ukazał się w Tygodniu Polskim w rubryce "Co tydzień dzieciom i młodzieży". (23.7.1977). Dołączamy go do zbioru przyczynków do Historii Łączności oraz dla tych do których nie dociera prasa londyńska).

Kiedy uczyłem się w harcerstwie znaków Morse'a nawet mi się nie śniło, że będę kiedyś w wojsku radiotelegrafistą w czasie drugiej wojny światowej.

Do Łączności dostałem się zresztą zupełnie przypadkowo. Kiedy stanąłem przed wojskową komisją poborową w Rosji, po prośbie o przydział do Łączności. Ten rodzaj broni wybrałem z przyczyn zupełnie prozaicznych. Mój starszy brat, żołnierz Łączności, zginął bez śladu w kampanii wrzesniowej 1939r. Miałem nadzieję, że służąc w Łączności będę mógł zdobyć o nim jakąś wiadomość.

Kiedy podałem mój wybór kapitanowi, zwrócił się do mnie w ten sposób - Kolego, ja służę w piechocie już 25 lat i żyję!.

Kapitan myślał - i może miał trochę racji - że stojący przed nim w dziurawych butach poborowy ma trochę stracha przed służbą w piechocie, "królowej broni". Jednak w tym czasie myślało się bardziej o tym, jak wydostać się z sowieckiego rajdu, niż o jakichś innych, dalekich może niebezpieczeństwach.

Chociaż w mieście, gdzie chodziłem do szkoły, był stacjonowany pułk strzelców konnych, to jednak już wówczas znana mi była piosenka o tym, że "Kto nie służył przy piechocie temu żal..". Ale nie była mi również obca także inna wersja strofki tej piosenki, którą śpiewali żołnierze innych broni, a mianowicie, że "kto nie służył przy piechocie szczęście ma" Mam nadzieję, że wybaczą mi tę frywolną uwagę filateliści-piechurzy.

Kiedy znalazłem się w Palestynie, kazano mi stawić się na zbiórce przed drewnianym barakiem komendy obozu. Do sformowanego z nas oddziału przemówił pewien major w te słowa: "Widzicie chłopcy, potrzeba nam takich, co potrafią konie kraść! Kto krał konie ręką do góry!"

Słyszając te słowa zrobiłem w pamięci szybki przegląd i próbowałem sobie przypomnieć czy kiedykolwiek uczono mnie w szkole kraść konie. Zdołałem sobie jednak przypomnieć tylko to, że w Rosji robiono mi wymówki, że nie mam śmiałości pozbierać porzucane po węglu resztki drobnego mialu. Nie miałem również żadnych wątpliwości, że nie było sprawności "koniokrada" w drużynie harcerskiej w królewskim mieście Żółkiew, w województwie lwowskim.

Mimo to podniosłem rękę do góry, tak jak zrobiła większość moich towarzyszy. W ten sposób zostałem ochotnikiem, jak się dowiedziałem później, "na skoczka" do Kraju.

Grupę naszą wcielono wkrótce do batalionu łączności 2 korpusu, gdzie rozpoczęliśmy szkolenie łącznościowe. Od czasu do czasu urządzano nam egzaminy i usuwano tych, którzy nie mogli poddać się szkoleniu. Nagradzano zaś przepastkami tych, którzy robili postępy, szczególnie w odbiorze znaków Morse'a. Bo dobry radiotelegrafista musi być zdolny nadawać i odbierać znaki, Morse'a instynktownie. Kropki i kreski są dla niego tym samym, co dla muzyka nuty.

Z Palestyny wyjechaliśmy na krótko do Iraku. Tam wybrano 60 szeregowych z naszej grupy i ruszyliśmy samochodami z portem do Palestyny, aby następnie w Egipcie załadować się na okręt i ruszyć w drogę do Wielkiej Brytanii.

Dopłynęliśmy tylko do Południowej Afryki, gdzie przez całe cztery miesiące czekaliśmy na nasz okręt. Tam też zastały nas święta Bożego Narodzenia. Dziwne to były dla mnie święta. Za miast tradycyjnych polskich potraw wigilijnych i opłatka otrzymaliśmy po porcji pieczonego indyka. Temperatura wahała się między 20 a 40 stopni Celsjusza. Zdawało się, że straszne wypadki wojenne zakłóciły nawet chronologię kalendarza.

Dowódca naszego oddziału był bardzo roztropny porucznik, inżynier z brygady karpackiej. Wykorzystywał on nasz przymusowy pobyt w Południowej Afryce na utrzymanie nas w dobrej kondycji fizycznej. Dzięki niemu władze obozowe nie mogły się nami wysługiwać. Oprócz świetnego dowódcy mieliśmy również bardzo "morowego" szefuncia, z którym jeszcze do dzisiaj jestem w kontakcie. Pod takim dowództwem grupa nasza była gotowa jechać chociażby na drugi koniec świata.

Ale dojechaliśmy tylko do Szkocji, gdzie przywitało nas zimno i szkocki deszcz. Nawet Szkoci, wracający do domu po dłuższej nieobecności, witali swój kraj ojczysty bez dużego entuzjazmu.

W Szkocji przydzielono nasz oddział do ośrodka wyszkolenia sekcji dyspozycyjnej sztabu Naczelnego Wodza, który mieścił się w Polmont i gdzie szkolono Łącznościowców dla Armii Krajowej. Tam uczono nas w dalszym ciągu Morse'a radiotechniki,

pyrotechniki, strzelania i starano się utrzymać nas w dobrej kondycji fizycznej.

Krótko przed wyjazdem kolegów na przeszkolenie spadochronowe spadłem w czasie gimnastyki z liny i na skutek doznanej kontuzji nie mogłem odbyć skoków spadochronowych.

W Szkocji spotkałem się po raz pierwszy z radiostacją typu agencyjnego "Al", zwana popularnie "pipsztokiem" ze względu na swój mały rozmiar. Jeszcze wówczas nie wiedziałem, że radiostacje te były produkowane w polskim wojskowym warsztacie radiowym w Stanmore pod Londynem. Jak wiadomo, w tym czasie nie było jeszcze tranzystorów i trudno było nabyć na wolnym rynku części do radia. Dlatego też produkcja tych a później ulepszonych radiostacji była dużym osiągnięciem polskich inżynierów i techników.

Ze Szkocji zostałem odkomenderowany do plutonu radiotelegraficznego, który miał być plutonem ruchomym, przeznaczonym do wysłania na kontynent Europy. Projekt ten jednak nie doszedł do skutku i wobec tego otrzymałem przydział do kompanii radiotelegraficznej w Barnes Lodge, Kings Langley/Herts).

Jednym z głównych zadań tego ośrodka była korespondencja, drogą radiową z zakspirowanymi stacjami w okupowanej przez Niemców Polsce.

W Barnes Lodge zgrupowane wszystkie urządzenia odbiorcze i klucze nadawcze, które były połączone kablem z nadajnikami w pobliskiej miejscowości Chipperfield.

Radiostacje pracujące w Kraju nazwano "Wandami" i przydzielono im numery rozpoznawcze (Wanda 2, 4 itp.) W pracy z "Wandami" posługiwaliśmy się międzynarodowym regulaminem służby ruchu-radio, aby upodobnić konspiracyjną korespondencję do powszechnie stosowanych sposobów przekazywania wiadomości drogą radiową. Przyjęcie takiego regulaminu miało utrudnić Niemcom wykrycie zakspirowanych stacji. I tak, na przykład, siłę odbioru określało się skrótami QRK. Skrót ten z dodaną cyfrą 5 oznaczał bardzo dobry odbiór, co było niestety tylko pobożnym życzeniem każdego radiotelegrafisty. Przeszkody w odbiorze określało się skrótami QRM, z dodaniem cyfry od 1 do 5.

Używało się również skrótów grzecznościowych, jak PSE (please-proszę), lub TKS (thanks-dziękuję). Każda "Wanda" miała swój sygnał wywoławczy. Po nawiązaniu łączności z "Wandą" używało się w pracy skrótu "OB", co było skrótami angielskiego wyrażenia "old boy". Dla nas jednak skrót ten miał bardziej uczuciowe zabarwienie. Zawsze w pracy pamiętaliśmy o tym, że radiotelegrafista w Kraju jest stale narażony na niebezpieczeństwo wykrycia go przez Niemców i w najlepszym razie

czeka go więzienie i obóz koncentracyjny. Dlatego też skrót "OB" był dla nas równoznaczny z wyrażeniem: "bardzo nam drogi i dzielny kolego."

Zadziwiająca jest rzeczą ile uczucia można przelać przy pomocy tego zwykłego martwego metalowego klucza. Między radiotelegrafistami nawiązywały się szybko przyjaźnie. Po wymianie korespondencji nadawano sobie wzajemnie skrót 73/88, co znaczyło, według międzynarodowego regulaminu w tłumaczeniu polskim: "serdeczny uścisk dłoni". Bywało i tak, że czasami każdy z operatorów chciał być tym ostatnim, który nacisnął krótko kluczyk, aby nadać kropkę (literę "E").

Praca w Barnes Lodge wymagała bardzo silnych i zdrowych nerwów. Świadomość tego, że każde naciśnięcie klucza przez operatora w Kraju może spowodować wykrycie zakspirowanej stacji, była powodem, że przy odbiorze telegramu z Kraju "zamienialiśmy się w słuch", aby przypadkowo nie uronić żadnego nadawanego znaku. Do pokoju, w którym pracował telegrafista wchodziło się na palcach.

Czasami kiedy siła odbieranego sygnału była znośna, mieliśmy innego rodzaju trudności. Korespondowaliśmy z "Wandą", której operatora przeważaliśmy "Noga". Krążyły bowiem wśród nas plotki, że jest to telegrafista, którego szkolił inwalida nadający nogą. Był to bardzo dobry sposób zakspirowania się, bo ktoś mógł podejrzewać człowieka bez ręki (czy rąk), że jest radiotelegrafistą. Ale cierpiała na tym jakość nadawania. Uczeń jego nadawał bowiem Morse'a w ten sposób że po krótkim czasie trudno było odróżnić kropkę od kreski. Dla przykładu: literę "S" (trzy kropki), trudno było odróżnić od litery "O" (trzy kreski). Nie było na to innej rady jak tylko to, że telegram odbierało dwóch albo trzech telegrafistów i później porównywano odebrany tekst. Należy tutaj dodać, że tekst był szyfrowany i tak zwana grupa kluczowa musiała być odebrana poprawnie, aby można było odszyfrować odebrany telegram.

W Barnes Lodge zjawiali się od czasu do czasu przelotni goście, aby zobaczyć nasz ośrodek. Jednym z nich był mój przełożony oficer, który wkrótce po wizycie "skakał" do Kraju. O tym dowiedziałem się dopiero po wojnie. Wówczas jednak mogliśmy snuć tylko różne domysły co do celu tych krótkich wizyt.

Dnia 24 grudnia 1943 roku kompanię radiotelegraficzną zaszczylił odwiedzinami prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Władysław Raczkiewicz. Pan Prezydent zwiedził centralę nadawczą w Chipperfield i centralę odbiorczą w Barnes Lodge oraz był obecny przy odbiorze telegramu z Kraju.

W książce pt. "Dziękuję Wam Rodacy", wydanej przez Związek Łącznościowców w Londynie, w ten sposób określa się znaczenie łączności radiowej.

"Łączność radiowa pracująca w niezwykłych warunkach, jakie narzuciła ostatnia wojna, była niezmiernie ważna dla Kraju, który walcząc w osamotnionej konspiracji i Powstaniu Warszawskim czerpał otuchę i nadzieję w możliwości porozumienia się z władzami naczelnymi sił zbrojnych i państwa. Łączność zaś z Krajem dla władz polskich na Zachodzie była źródłem podniecia i umocnienia w przekonaniu, że żołnierz polski trwa i nie ustępuje w walce o wolność swego Kraju".

Dowódca Armii Krajowej gen. Tadeusz Bór-Komorowski, po zakończonych działaniach Powstania Warszawskiego nadał radiogram, którego początkowe słowa były następujące:

"Dziękuję Wam Rodacy za Waszą rzetelną pracę. Jesteśmy dumni, że łączność radiowa nie zawiodła i (jesteśmy) głęboko przekonani, że nasza wspólna ciężka praca przyczyniliśmy się do chwały naszej umęczonej Ojczyzny- Jeszcze Polska nie zginęła"

Andrzej Grabia-Jalbrzykowski

Szkockie lata

Trudno było w czasie wojny przedostać się z okupowanej Europy do wolnej Portugalii. Trzeba było przeprawić się przez Francję Vichy, gdzie na każdym kroku można się było natknąć na skrupulatną kontrolę posiadanych a na pewno nie zawsze przepisowych dokumentów. Potem na drodze pojawiała się kontrolowana przez Niemców Hiszpania z zawsze obecnym na widnokręgu widnem obozu w Miranda del Ebro. Dopiero na granicy Portugalii oddychało się z ulgą. Ale i z Portugalii nie łatwo było wyjechać. Trzeba było czekać tygodniami, a często i miesiącami na transport do Anglii. Było się oczywiście w kolejce, ale ciągle znajdował się ktoś, kto miał pierwszeństwo. Nie mógł przecież młody i nawet pełen entuzjazmu ochotnik, którego czekało jeszcze całe wyszkolenie wojskowe zabierać miejsca doświadczonemu oficerowi, którego pilnie wzywano do Anglii zagrożonej teraz inwazją niemiecką. Lizbona była jednak tak przyjemna, tak spokojna i pogodna, że czas nikomu się nie dłużył.

Takim czekającym na transport ochotnikiem byłem właśnie ja w pierwszych miesiącach roku 1941. Kiedy wreszcie w czerwcu przyszedł czas na mój odjazd, zebrała się grupa ponad dwudziestu młodych ludzi, częściowo już mających poza sobą doświadczenia bojowe z Francji, a częściowo takich jak ja, którzy różnymi drogami dotarli do Portugalii i mieli dopiero na terenie Anglii rozpocząć swą karierę wojenną. Grupę naszą sformułował i prowadził nieco od nas starszy pan Aleksander Florkowski, który niedawno przedostał się do Lizbony z Francji, gdzie jak mówiono "wiele już z nieprzyjacielem dokazywał". Pan Aleksander od razu sobie wszystkich zjednał ogromnym optymizmem i nie znikającym nigdy z twarzy uśmiechem.

Płynęliśmy do Gibraltaru Avoceta, małym brytyjskim statkiem, nie wiedząc, że był to już jego ostatni rejs. W drodze powrotnej z Gibraltaru do Lizbony padł ofiarą niemieckiej łodzi podwodnej i zatonął z całą załogą. Teraz, po wypłynięciu z portugalskich wód terytorialnych wziął nas pod opiekę czekający na nas angielski

ski torpedowiec, który płynąc dużo od nas szybciej, zyzgakował przed nami, torując nam jakby drogę i chroniąc przed możliwymi niespodziankami.

W Gibraltarze panował wielki ruch. Na ulicach było pełno wojska, a samo miasto robiło wrażenie twierdzy zapewniającej absolutne bezpieczeństwo. Spacerowaliśmy z panem Aleksandrem po wąskich i krętych uliczkach, pnących się coraz to wyżej i podnoża słynnej gibraltarskiej skały. Im wyżej znajdowaliśmy się, tym ładniejszy widok rozciągał się w dole na cieśninę, port pełen okrętów wojennych, lotnisko i majacząca w oddali na afrykańskim brzegu okryta siwą mgłą sylwetkę Atlasu. Sklepy w mieście pełne były doskonałych angielskich towarów, a panująca atmosfera dodawała otuchy. W pewnym momencie pan Aleksander podszedł do dział przeciwlotniczego i pokazał mi przytwierdzoną do niego tabliczkę. Dział pochodziło z polskiej fabryki broni w Starachowicach.

Słońce już zachodziło, kiedy ładowaliśmy się na Scythie, wielki angielski transportowiec. Mieliśmy płynąć do Anglii w potężnym konwoju kilkudziesięciu statków pod ochroną lotniskowca Ark Royal, krążowników Rodney, Renown i Prince of Wales, nie licząc innych mniej świetnych jednostek. Jak się okazało trafiliśmy właśnie na przesunięcie floty z Morza Śródziemnego do Anglii i w ten sposób znaleźliśmy się w jednym z najpotężniejszych konwojów ostatniej wojny. Statki i okręty wolno wychodziły z portu, kiedy marynarze na płynącym blisko nas Rodneyu zaczęli śpiewać modną wtedy piosenkę "Mexicali Rose stop crying, I'll come back to you some sunny day ...". Ta sentymentalna melodia, oddalająca się port i malowniczy zachód słońca sprawiły, że nawet nasz zawsze rozbawiony dowódca jakos spoważniał, a potem prędko się odwrócił i odszedł w głąb pokładu.

Droga nasza wiodła przez Atlantyk ku wybrzeżom Kanady i stamtąd dopiero mieliśmy zawrócić ku Anglii. Codziennie odbywaliśmy próbną musztrę alarmową, pędząc na zbiórki z pasami ratunkowymi, ale dwa razy zetknęliśmy się z prawdziwą wojną. Na czwarty dzień po odpłynięciu z Gibraltaru zaatakowały nas samoloty niemieckie. Nasza eskorta otworzyła imponujący ogień. Huk działa robił wrażenie jednostajnego i nieprzerwanego grzmotu jakiejś zwariowanej burzy. Kilka bomb wpadło w wodę niedaleko naszego statku, po czym samoloty zniknęły na horyzoncie. Następnego dnia mieliśmy wizytę łodzi podwodnych. Z podziwem patrzyliśmy jak z silnie kołyszącego się na wzburzonym morzu lotniskowca startowały samoloty, podczas gdy pancerniki wyrzucały z katapult w morze serię bomb głębinowych. Ale i ta nieprzyjemna niespodzianka nie pozostawiła żadnych przykrych następstw i bez dalszych przygód dopłynęliśmy do Glasgow.

Jakże inaczej wyglądał ten port od słonecznego Gibraltaru... Wielka Brytania witała nas deszczem i mgłą. Konwój wsuwał się coraz to głębiej w ponury port, mijaliśmy olbrzymie stocznie z budującymi się statkami, składy, fabryki, w końcu z oddali wyłoniło się miasto chronione lasem balonów zaporowych. Padający drobny deszcz i przejmujący chłód kazał nam z żalem wracać w myślach do pozostawionego poza nami słonecznego lata południowej Europy. Z Glasgow przewieziono nas koleją do Londynu, skąd po kilku dniach badań w tak zwanej "Patriotic School", czyli obozie przejściowym, w którym sprawdzano nasze dane osobiste, wyjechałem do Szkocji.

Przyjechałem do Abernethy, milej wsi w hrabstwie Perth i tu po raz pierwszy w tamtejszym obozie rozdzielczym włożyłem na siebie mundur wojskowy. Było to też moje pierwsze spotkanie ze Szkocją, w której miałem spędzić następne trzy lata. Po raz pierwszy zobaczyłem miłych Szkotów, którzy wbrew rozpowszechnianej o nich opinii nie byli wcale skąpi czy nawet oszczędni. Byli natomiast bardzo serdeczni i szczerzy i starali się jak tylko mogli uprzyjemnić nam pobyt w ich kraju. Już w kilka dni po przyjeździe do Abernethy poznałem w tamtejszej kantine NAAFI miejscowego pastora, który zaprosił mnie na zebranie towarzysztwa przyjaźni polsko-szkockiej, któremu sam przewodniczył. Zebranie odbyło się w kościele, a pastor w swoim przemówieniu powiedział, że chciałby żebyśmy się czuli jak u siebie w domu, gdyż siedzimy na polskich krzesłach. Odwrócił jedno z nich i pokazał nam wypalony pod spodem napis "Made in Poland". Tym drobnym gestem zrobił nam poczciwy pastor wielką przyjemność. Na zebraniu zostało postanowione, że w najbliższą sobotę zorganizuje się dla naszych żołnierzy i miejscowych panien zabawę taneczną w... kościele. Przyznam się, że projekt ten w pierwszym momencie mnie oszołomił i uspokoilem się dopiero kiedy moi towarzysze, którzy wcześniej niż ja wylądowali w Szkocji, zapewnili mnie, że nie ma w tym nic dziwnego i pastor jest daleki od profanacji.

W Abernethy poznałem młodego poetę Jana Rostworowskiego, z którym chodziliśmy w wolnych od zajęć chwilach na dalekie spacery po okolicznych górach, pokrytych już fioletowym dywanem jesiennych wrzosów. Na okolicznych polach pracowały przy żniwach zgrabne dziewczęta ubrane w brązowe mundury Land Army, przypominające zielonymi szelkami i kapelusikami strój tyrolski.

Wiele z nich było przebywającymi na wakacjach studentkami, które w tej formie starały się wziąć udział w brytyjskim wysiłku wojennym. Czasami drogą przechodziła grupa poważnych, starszych, ale wciąż jeszcze zamaszystych, panów z dubeltówkami pod pachą. Tylko noszona na ramionach opaska z napisem "Home Guard" zdradzała, że nie byli to miejscowi dobroduszni ziemianie wraca-

jący z polowania, a zorganizowani kandydaci na obrońców wysp brytyjskich, których postawa nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że kategorycznie sprzeciwią się jakiegokolwiek próbie niemieckiej inwazji.

Po kilku tygodniach pobytu w Abernethy dostałem pierwszy przydział do drugiego batalionu strzelców w pobliżu Leuchars. Obóz znajdował się w nadmorskim lesie Tentsmuir. Na obszernej polanie stało kilkadziesiąt baraków-beczek, do których wejścia upiękzone były ozdobami z kamieni i gałęzi układanych w pomysłówne wzory. Całość robiła wrażenie obozu harcerskiego. Las otaczały pola minowe ogrodzone zasiekami z drutu, a za nimi rozciągała się rozległa plaża najeżona schronami żelbetonowymi, przygotowanymi na wypadek niemieckiej inwazji.

Czas upływał nam na ćwiczeniach i służbie wartowniczej. Była już późna jesień, a wilgotne i deszczowe noce były dość uciążliwe. Niebo okrywały ołowiane chmury, zimny i słony wiatr przynosił szum niespokojnych morskich fal. Od czasu do czasu ciszę nocną przerywała gwałtowna eksplozja. Pola minowe pełne były krolików, które często powodowały wybuchy min, ale w tym okresie, kiedy spodziewaliśmy się lada dzień inwazji, każdy nocny szelest w nadmorskich krzakach, czy wybuch miny na pustej, oddalonej od obozu i pogrążonej w ciemności plaży, przyspieszały bicie serca.

Z radością spotkałem znów w Tentsmuir Aleksandra Florkowskiego, który teraz już w kapitańskim mundurze denerwował się bezczynnością. Kombinował jakby się dostać gdzieś bliżej akcji, ale tej w tym okresie nigdzie poza powietrzem nie było.

Drugi batalion strzelców reprezentował, jak utrzymywano, bardzo wysoki poziom kulturalny i intelektualny. Dbał o tą opinię jego dowódca, pułkownik Bronisław Chrusciel, dobierający podobno specjalnie do niego żołnierzy. Ton nadawała batalionowi grupa podchorążych, stworzona przez Benka Lipkowskiego i Marka Święcickiego. W ich baraku spotykało się co wieczór kilkunastu młodych ludzi, tu redagowano pismo obozowe, tu powstawały projekty różnych rozrywek czy widowisk batalionowych, tu w końcu można było spędzić parę miłych godzin na pogawędce, czy słuchając piosenek granych po mistrzowsku na harmonii przez Zygmunta Platę.

W styczniu 1942r. zostałem przyjęty na pierwszy na terenie obcym turnus podchorążówki łączności w Dundee.

Turnus nasz zgromadził około czterdziestu elewów, w większości w początkach dwudziestych lat życia. Nieliczne wyjątki stanowili zawodowi podoficerowie z cenzusem, którzy postanowili doskonalić się w wojskowej karierze. Do wyjątków innego rodzaju należał Wuj.

Wuj był od nas starszy o kilkanaście lat, dlatego też wszyscy zwracali się do niego z uszanowaniem per "proszę wuja", on zaś traktował nas jako po prostu smarkaczy. Wuj, inaczej Jerzy Kraśnicki, był ziemianinem z przemyskiego i bardzo się złościł, kiedy ktoś przy nim opowiadał o swojej prawie że arystokratycznej przeszłości, posiadanych dobrach ziemskich czy błyskotliwej paranteli. Takich Wuj poddawał od razu ostremu egzaminowi i przeważnie ośmieszał. Już na drugi dzień po moim przyjeździe do Dundee Wuj dobrał się do mnie.

- A ty skąd pochodzisz? - zapytał groźnie.

- Spod Krakowa, proszę Wuja - odpowiedziałem. Wuj zmarszczył brwi, czułem, że za chwilę padnie grom.

A... Immerglucka znasz? - wystrzelił.

Strzał był bardzo celny. Ktoż w krakowskim nie znał Mojżesza Immerglucka. Mało kto tak jak on znał się na koniach, którymi od lat handlował. Objężdżał cały powiat, dostarczając świetne klacze i ogiery, a często jego diagnoza w wypadku choroby którejs sztuki była trafniejsza niż nawet samego doktora Krilla, ogólnie szanowanego krakowskiego weterynarza.

Wuj uśmiechnął się zadowolony. Czuję, że ani długa lista najbardziej wybitnych sąsiadów, ani najlepsze koligacje nie mogłyby mi dać w oczach Wuja wyższej lokaty.

Tworzyliśmy dwa plutony elewów, które w marszu prezentowały się doskonale. Na czele maszerowało trzech dwumetrowych dryblasów: Miętek Korwasser, Henryk Zaremba i Jerzy Skowroński, którego nazywaliśmy "Jezus Maria Skowronskim".

Trzech synów matka miała

Dwóch słynęło z mądrości

A trzeci co był głupi,

Poszedł do łączności.

Śpiewaliśmy z fantazją, gdyż bawił nas niesłychany absurd tej piosenki. Zawsze uważaliśmy, że nasza podchorążówka, jak zresztą w ogóle wojska łączności stanowiące nerwy każdej operacji wojennej gromadziły naprawdę elitę intelektualną wojska. Nigdzie nie spotykało się tylu żołnierzy z uniwersyteckim wykształceniem, tylu doskonałych inżynierów i techników co właśnie w łączności. Dlatego też atmosfera w wojskach łączności była zawsze zupełnie specjalna. Dyskusje, rozmowy, a nawet psie figle były naprawdę na bardzo wysokim poziomie.

Henio Zaremba prześcignął wnet wszystkich w sztuce czyszczenia butów. Jego buty błyszczwały jak żadne inne, a ich właściciel strzegł zazdrośnie swego kunsztu. Aż raz zawołał go do siebie Wuj.

- Wyczyszczyłbyś wujowi kiedy buty, smarkaczu - powiedział.

Henio zabrał się do roboty i wyczyścił. Ale tylko jeden. I żadne prośby ani zaklęcia Wuja nie były w stanie go wzruszyć. Wobec czego Wuj sam zabrał się do roboty. Czyszczył i czyścił drugi but kilka dni, nic. Nie mógł zrównać go z pierwszym. Postanowił więc przywrócić but oczyszczony przez Henia do pierwotnego stanu. Moczył go w wodzie, smarował czemś, nic nie pomagało. Do końca podchorążówki chodził w butach, które wydawały się należeć do dwóch różnych par.

Obiektem westchnień wszystkich elewów była piękna pani Barbara Banczerowa, żona jednego z wykładowców. Ambicją każdego z nas było choć raz z nią zatańczyć. Okazję do spełnienia naszych marzeń dostarczył uroczyste zapowiedziany bal Towarzystwa Polsko Szkockiego w Dundee, na który została zaproszona podchorążówka łącznie. Na balu jednak zjawił się również nasz zawzięty rywal, w osobie młodego podporucznika, naszego dowódcy plutonu. Nie odstępował on na krok pani Barbary i tańczył z nią bez przerwy. W końcu czterech z nas, a to Leszek Starzyński, Andrzej Mayzner, Władzio Torzewski i ja zaczęliśmy się na naszego dowódcę i odbijając mu na zmianę partnerkę, zmusiliśmy go do kapitulacji. Epilog tego spisku miał miejsce następnego dnia na wykładzie porucznika. Wykład rozpoczął się małym egzaminem z przerobionego materiału. A że zabrał się do egzaminu w porządku alfabetycznym, więc najpierw oblałem ja, potem Andrzej, po nim Leszek i w końcu Włodzio. Tu upojony zemstą porucznik, dla zatarcia śladów swej prywaty, wywołał piątego ... Wuja. A Wuj jak to Wuj. Wstał i wypalił.

- Ja, panie poruczniku, z panią Barbarą wczoraj nie tańcowałem.

Porucznik był młodym i bardzo ambitnym oficerem. Będąc jeszcze aspirantem, znalazł się z pierwszą brygadą podhalańską w Norwegii¹⁾ Opowiadano o nim, że wysłał raz patrol na jedno z ostrzeliwanych przez Niemców wzgórz i zapomniał po paru godzinach go odwołać. Dowiedział się o tym dowódca kompanii, kapitan Iwaszkiewicz, który połączył się natychmiast z aspirantem i ich rozmowa telefoniczna wyglądała podobno w ten sposób:

- Jasiu- zapytał miłym i łagodnym głosem Iwaszkiewicz- A kiedyż twoje imieniny?

- Melduję posłusznie panie kapitanie, dwudziestego czwartego czerwca.

- No to sobie h... kalendarz kup- huknął teraz kapitan- żebyś pamiętał kiedy patrole odwoływać.

1) gdzie doskonale się podobno spisał i skąd wrócił odznaczony Krzyżem Walecznych.

Szkola nasza mieściła się na wzgórzu, na które prowadziła stroma ulica. Ulicą tą wyjeżdżał codziennie na swojej "Matyldzie" porucznik Michalkiewicz, wykładowca techniki samochodowej. "Matylda", był to samochód przez niego skonstruowany. Nie miała wstecznego biegu, a starter rzadko tylko działał jak należy. Dlatego też wdrapawszy się na pagórek, na którym była nasza szkoła, porucznik Michalkiewicz zataczał na małym placu krąg i ustawiał samochód przodem do zjazdu, aby móc zwolniwszy hamulec ręczny nabrać na pochyłości rozpędu. Gdy tylko postępował z nami na wykładzie zbyt ostro, specjalna ekipa karna, a to Wiktor Bernacki, Feliks Mielżyński, Antos Rogoziński i zawsze poważny a obdarzony ogromnym poczuciem humoru Franek Ranoszek, wymykała się pod jakimkolwiek pretekstem z wykładu. Podnosili oni w górę "Matyldę" i odwracali ją tyłem do zjazdu. Biedny Michalkiewicz musiał się solidnie napracować, żeby doprowadzić ją znowu do pozycji z której mógł ruszyć.

Z wiosną szkoła nasza została przeniesiona z Dundee do St. Andrews i zainstalowana w hotelu Scores nad morzem. Codziennie jeszcze przed świtem budziła nas pobudka, po której następowała gimnastyka. Wnet jednak uzyskaliśmy pozwolenie zastępowania porannej gimnastyki półgodziną kąpielą w morzu. Pędziliśmy więc na plażę i wskakiwaliśmy do zimnej wody, rzucając się na fale i pobudzając gwałtownymi ruchami krążenie krwi. Wnet widnokrąg się rozjaśniał, tarcza słoneczna wylaniała się z morza. Czas było wracać do wykładów i zajęć rozpoczynającego się dnia.

St. Andrews jest bardzo pięknym miastem. Piętnastowieczny uniwersytet i o trzy wieki od niego starsze ruiny katedry nadają temu miastu atmosferę, która ma w sobie coś z naszego Krakowa. Bliskość morza, wspaniałe plaże i ciągnące się nad nami w nieskończoność bajecznie zielone pola golfowe zachęcają do spokojnego i błogiego wypoczynku. Atmosfera ta tak wpłynęła na naszego kolegę Olesia Brinka, że niedługo później sam powrócił do St. Andrews, zapisał się na uniwersytet i skończył ekonomię. Ale Oles zawsze reprezentował raczej typ naukowca niż żołnierza. Dla upamiętnienia jego wypoczynku, który polegał na tym, że na ostrych bojowych ćwiczeniach, w momencie najbardziej krytycznym po prostu zasnął, podarowaliśmy mu na zakończenie kursu podchorążówki solidny budzik.

Podchorążówka się skończyła. Pozostały w pamięci epizody przyjemne i wesołe. Zdaje się, że tak się zwykle dzieje, że najdłuższą pamięta się jasne i pogodne chwile niektórych epok. Ale nie brakowało i chwil ciężkich i smutnych. Gnębiło nas zupełnie oderwanie od Kraju, brak wiadomości o najbliższych, niepewność jutra i potworne wieści nachodzące drogą okrężną z niemieckiej okupacji. Z drugiej strony stabilizacja na odległych

frontach, a zupełny brak akcji w Europie i bezsilność wobec niemieckich sukcesów powodowały depresje, które w niektórych wypadkach prowadziły nawet do samobójstw.

Pracy w podchorążówce też było mnóstwo. Komendant szkoły, przystojny i elegancki major Teodor Lange chciał w krótkim czasie wtłoczyć nam w głowy całą wiedzę wojskową potrzebną do zbudowania i utrzymywania łączności, od której tak wiele w nowoczesnej wojnie zależało. Zebrał najlepszych specjalistów, z każdej dziedziny i powierzył mu fachowe wykłady ograniczając do koniecznego minimum normalne koszarowe kursy. Ukończenie naszego kursu wymagało ogromnego wysiłku, ale za to otrzymaliśmy doskonale przygotowanie. Nie zapominał major i o aspekcie towarzyskim. Raz na miesiąc zapraszał nas na obiad w specjalnie wynajętej sali miejscowego i pierwszorzędowego hotelu. Zasiadał wraz ze swą bardzo przystojną i kulturalną żoną przy długim ustawionym w podkowę stole i prowadził z nami i rozmieszczonymi wśród nas wykładowcami rozmowy na tematy ogólne.



Mjr. Teodor Stefan Lange
Komendant Szkoły Podch. Łączn. 1942 r.

Po skończeniu podchorążówki dostałem przydział do Centrum Wyszkożenia Łączności w Bridge of Earn koło Perth. Była to wówczas siedziba pierwszego korpusu naszych wojsk. Dowództwo mieściło się w obszernym parku, należącym do lorda Jamesa Stuart Moncrieff, wielkiego przyjaciela Polaków, którego typowa sylwetka w pumpach i z fajką często pojawiała się na terenie obozu. Wnet jednak przeniesiono nas do Carron School koło Falkirk.

Zupełnie nie pamiętam gdzie poznałem pana Gourlaya. Musiało to być na jakimś zebraniu szkocko-polskim w Falkirk. Miasto to leży w hrabstwie Stirling, a pan Gourlay był bardzo przez okolicznych Szkotów szanowanym burmistrzem stołecznego miasta tego hrabstwa. Często jeździłem do Stirling, zapraszany przez państwa Gourlayów na bridge'a, w którego obydwoje namiątnie grywali, i zostawałem u nich na noc z soboty na niedzielę. Pan burmistrz bardzo się interesował Polską i Polakami i nieraz spędzaliśmy długie godziny na rozmowach. Zachwycały ich nasze wojny, niepodległość i często na większych przyjęciach w ich domu o niczym innym nie mówił jak tylko o Polsce i - jak się sam wyrażał - wspomniał Polakach. Dziwiło mnie to jego tak na każdym kroku podkreślane zainteresowanie, gdyż nie mogłem go tłumaczyć tylko uprzejmością w stosunku do mnie. Aż raz dostałem bardziej niż kiedykolwiek przedtem ceremonialne zaproszenie na przyjęcie w dniu 11 września 1942r. Wtedy zrozumiałem pana Gourlaya i jego zainteresowania.

Niedaleko Stirling wznosił się na szczycie góry dominujący całą okolicę pomnik Willama Wallace'a. Wallace stanął w roku 1297 na czele szkockiego powstania przeciwko Anglikom i w dniu 11 września pobił pod Stirling wojska króla Edwarda. Zajął Dundee, Edynburg i wkroczył do północnej Anglii. Będąc jednak synem zwykłego szkockiego szlachcica, nie uzyskał poparcia arystokracji i został w rok później pokonany przez Anglików i zmuszony do ucieczki do Francji. Powrócił jednak do Szkocji i znów podjął walkę, ale na skutek ugody, jaką szkoccy magnaci zawarli z Anglikami w roku 1304 Wallace został pojmany i w rok później stracony w londyńskim Tower.

Burmistrz był wielbicielem Wallace'a bohatera narodowego i patrona całego szkockiego ruchu nacjonalistycznego. Każdy naród walczący o swą wolność znajdował w burmistrzu wiernego przyjaciela. Przyjęcie na które zostałem zaproszony jako jedyny cudzoziemiec, zgromadziło cały szereg okolicznych notabli, którzy nie kryli się z dużymi dla nas i naszej sprawy sympatiami.

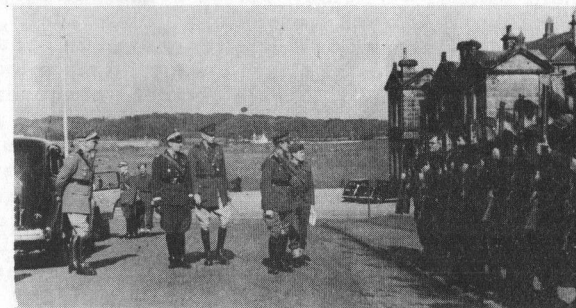
W kilka lat później, już po zakończeniu wojny, kiedy Polacy nie byli już na wyspach brytyjskich tak mile widziani jak w jej pierwszych latach, dostałem w Londynie list od pani Gourlay. Pisała mi, że antypolska propaganda dotarła i do Stirling. Na rynku przylepiono jakiś afisz, w którym były obraźliwe dla Polaków akcenty. Kiedy to zobaczył przez okno jej mąż narzucił na piżamę pled w kolorze tartanu Stuartów, na głowę włożył melonik i wyszedł z laską na ulicę. Osobiscie zerwał z muru afisz i wygłosił do zgromadzonych właśnie koło kościoła i czekających na nabożeństwo obywateli swego miasta gwałtowne przemówienie. Podobno żaden z mieszczan nie widział spokojnego zazwyczaj burmistrza tak wyprowadzonego z równowagi jak tej niedzieli.

W roku 1943 Centrum nasze znów wyruszyło w drogę. Wróciliśmy na półwysep Fife i na parę miesięcy osiedliśmy w Kirkcaldy nad morzem. Pewną monotonię pobytu w Szkocji przerywałem wyjazdami do Londynu. Londyn oszalał swym rytmem i swą wojenną fantazją. Był pełen najrozmaitszych alianckich mundurów, mnóstwo żołnierzy przyjeżdżało tu na urlopy, starając się jak najbardziej beztrosko spędzić czas, zapominając o codziennych troskach i kłopotach. Chodziłem do Millroya, gdzie grał swym nieporównanym rytmem przedwojenne przeboje Harry Roy, słuchałem wiazanek wojennych piosenek w interpretacji Charlie Kunza, którego wspaniała gra fortepianowa na długo pozostawała w pamięci jako ilustracja niejednej sentymentalnej przygody. W teatrze na Haymarket szła latami sztuka Ivora Novello "The Dancing Years" a w kinach Bing Crosby czy Fred Astaire bawili doskonałymi muzycznymi komediami. Wspaniały humor angielski w okresie swego szczytowego rozwoju objawiający się w karykaturach Low'a i Cummings'a i słuchowiskach radiowych Tommy Handley'a dopomagał do znoszenia ciężkich niemieckich nalotów.

Po kilku miesiącach pobytu w Kirkcaldy, gdzie zastała nas tragiczna wiadomość o śmierci w Gibraltarze generała Sikorskiego, przeniesliśmy się do Kinross. Nie zdążyliśmy się jeszcze dobrze w Kinross zadomowić, kiedy armia brytyjska stacjonowana w Szkocji urządziła wielkie manewry w północnym Highlandzie. Czuliśmy, że była to jakby pierwsza próba sprawności naszych wojsk na wypadek inwazji kontynentu. Manewry prowadził generał Ritchie, który niedawno powrócił z Afryki północnej gdzie musiał się mierzyć z przewyższającymi go znacznie siłą i uzbrojeniem wojskami Rommla. Utrzymywaliśmy łączność w kolumnach samochodów naszego Korpusu posuwając się na północ poprzez łańcuch górskie Grampianów.

Manewry trwały około dwóch tygodni, składały się na nie różne dzienne i nocne ćwiczenia, uciążliwe marsze przeplatane jednak czasami i dłuższymi postojami. Muszę przyznać, że zrobiło mi się dość miło, kiedy w najwyższych szkockich górach w pobliżu Ben Nevis, w małej pasterskiej wiosce, zupełnie odciętej strumy- mi i wąskimi drogami od świata, zobaczyłem w małym sklepiku na ścianie niezbyt przyzwoity polski napis. Dotarliśmy na północy aż do Inverness, gdzie mieliśmy szczęście zobaczyć pewnej nocy wspaniałą zorzę polarną. Wracaliśmy drogą nad Loch Ness i tu znów w małym osiedlu wypadł nam postój. Nie pamiętam już dziś nazwy tej wsi. Zaraz po naszym rozkwaterowaniu się przyszedł do nas miejscowy pastor z zapytaniem, czy czegoś nie potrzebujemy. Było to jego pierwsze zetknięcie z Polakami, widziałem, że paliła go ciekawość poznania nas trochę bliżej. Po półgodzinnej rozmowie zaprosił mnie do siebie na kolację. Poszliśmy wolnym spacerem w kierunku jego domu. Droga prowadziła nad brzegiem jeziora. Powietrze było czyste przed nami rozciągała się czarna tafla nieruchomej wody, opierająca się o widoczne na przeciwległym brzegu skały. Słońce skłaniało się ku widnokręgowi, panował idealny spokój. Wysokie stojące nad brzegiem drzewa rzuciły ku nam długie wieczorne cienie. Pastor chyba czytał w moich myślach, bo sam się pierwszy odezwał:

- Tak ... To spokojne jezioro zawdzięcza swą karierę zdarzeniu, które nabrało wielkiego rozgłosu w prasie całego świata. Chyba i pan słyszał o naszym wężu morskim?



I turnus SPL St. Andrews 1942r. Szkocja. W szeregu drugi z prawej pchor. Andrzej Jalbrzykowski, Przed frontem kompanii SPL. Od prawej: por. Pankiewicz M. E., bryt. gen. Paget, adjutant gen. Paget (nazwisko nieznane), gen. Giuchowski, Generałowie przy samochodach.

- Naturalnie- powiedziałem- Polska prasa też wiele na ten temat pisała kilka lat temu. Jaka jest opinia księdza w tej sprawie?

- Hm... zamyślił się pastor. To co o tym pisano było oczywiście bardzo przesadzone. Loch Ness jest jednak dziwnym jeziorem. Wody jego wypełniają wąską i długą szczelinę skalną, jest bardzo głębokie i zdradliwe. Ileż ludzi już się tu potopiło... Tajemniczość jeziora powiększa jeszcze okoliczność, że nie można było prawie nigdy znaleźć ciał potopionych. Loch Ness ma strome skaliste brzegi pełne podwodnych jaskiń i tam na pewno prądy wypychały topielców. A wąż... Nie uważa mnie pan chyba za łatwowiernego fantastę, a jednak i ja go też widziałem. To było coś co trudno opisać. Wydawało się że po prostu o kilkanaście metrów od brzegu klebiła się woda i na spokojnej jak dziś tafli jeziora powstawały grzebienie niczym nie usprawiedliwionych fal. Wydawało mi się że istotnie widziałem w wodzie jakieś ciało wijącego się węża, ale to wszystko razem trwało zaledwie kilkanaście, a może kilka sekund. To było również wieczorem, przed zachodem słońca. Wyszedłem na spacer z moją córką, która też zauważyła to dziwne zjawisko. Było to w okresie kiedy cała sprawa nabrała wielkiego rozgłosu, niedługo potem pojawili się nad jeziorem dziennikarze, filmowcy, fotografowie a za nimi i turyści. Pojawiły się nawet fotografie potwora morskiego, oczywiście żadne z nich nie miały w sobie nic autentycznego.

Słońce już zaszło i zapanował przenikliwy chłód. Schodziliśmy z pastorem połą drogą do wsi i niedługo znaleźliśmy się w dobrze opalonym pokoju przed wielkim kominkiem, w którym płonęły z trzaskiem polana. Po kolacji pastor podarował mi dwie fotografie węża morskiego o których wcześniej mi opowiadał.

Po powrocie do Kinross dowiedzieliśmy się, że obóz w Miranda del Ebro w Hiszpanii został zlikwidowany i dużo młodzieży przybyło do Wielkiej Brytanii. Zaszła potrzeba stworzenia nowego turnusu podchorążówki łączności i w związku z tym polecono naszemu byłemu dowódcy plutonu zorganizowanie komisji egzaminacyjnej, która miałaby ustalić, czy kandydaci rzeczywiście mają wystarczające wykształcenie, aby móc być przyjętymi do szkoły. Porucznik dobrał sobie do asysty naszego bardzo milego i kulturalnego kolegę podchorążego Franka Szczepańskiego, który potem krztusząc się ze śmiechu opowiadał mi jak rozentuzjzmowany swą funkcją Jaś Zakrzewski o mało co nie oblał z matematyki szeregowca Kunowskiego, który w cywilu był... adiunktem tej właśnie nauki na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.

Do Kinross przyjeżdżali z Londynu liczni oficerowie sztabowi nie wyłączając kilku generałów. Dla nich organizowaliśmy specjalne kursy, na których mieli zaznajomić się z łącznością radiową. Na kilka godzin przed rozpoczęciem każdego kursu zestrąjaliśmy idealnie nasze dziewiętnastki i układaliśmy całe teksty rozmów radiowych, które uczestnicy kursów mieli czytać do mikrofonów. Każdemu oficerowi sztabowemu towarzyszył jeden z nas jako instruktor, który w razie potrzeby zestrąjał stację często "wypadając" z sieci na skutek: wstrząsów samochodu na wyboistych polnych drogach. Sądzę, że naszym dostojnym gościem bardzo podobały się te wycieczki w głąb Fife'u, kiedy przemierzaliśmy wzdłuż i wszerz malowniczy szkocki półwysep. Objeżdżaliśmy jeziora, zatrzymywaliśmy się na wzgórzach aby podziwiać rozciągający się przed nami krajobraz poprzecinany układanymi z kamieni murami odgraniczającymi poszczególne pola. Obsługa radiostacji wcześniej czy później nam samym przypadła w udziale.

Z Kinross przeniesiono Centrum do Auchtermuchty, miłej miejscowości, której nazwę niektórzy Anglicy nawet na trzeźwo nie są w stanie wymówić. Auchtermuchty było równocześnie moim ostatnim miejscem pobytu w Szkocji. Nadchodziła jesień, z drzew opadały liście, a z parków wylaniały się widoczne poprzez ogolone już konary drzew białe mury niejednego starego zameczku, wzbogacając jeszcze i tak już zachwycający krajobraz.

Auchtermuchty też miały swój zameczek i ten został przeznaczony przez dowództwo na kwaterę dla grupy podchorążych, nad którymi opiekę objął sam pan sierżant Klimczyk. Ale nasz zameczek posiadał jeszcze jedną dodatkową atrakcję. Był on terenem nocnych wycieczek ekscentrycznej Blue Lady, która podobno ktoś gdzies, kiedyś... nikt właściwie nie wiedział na pewno. Blue Lady miała denerwujący zwyczaj noszenia pod pachą swej obciętej głowy i nawiedzała około północy jedną i tę samą część zamku.

Pan sierżant był przyjacielem młodzieży i sugerował, żeby może umieścić w zamku samych podchorążych, zawsze będą mieli większą swobodę... on, stary, zamieszka gdzieś w wilgotnym baraczk. Ale dowódca był innego zdania. Wobec tego pan sierżant doszedł do wniosku, że zamek jest naprawdę bardzo ładny i idealnie nadawałby się na mieszkania dla oficerów.

- Po co tam mnie czy podchorążym takie wygody- mówił. Ale i ta ofiara nie znalazła zrozumienia i pan sierżant wyładował w królestwie Blue Lady.

Ulubionym tematem rozważań naszego sierżanta było żółte niebezpieczeństwo.

- Bo to widzicie teraz to jeszcze nic ale tylko patrzcie jak się Japończyki zwachają z Chinczykami i wtedy dopiero będzie nie-szczescie.

Żółte niebezpieczeństwo traktował sierżant Klimczyk tak poważnie, że na noc zawsze poza zamykaniem swego pokoju na klucz barykadował drzwi od wewnątrz ławką. Teraz, kiedy żółte niebezpieczeństwo połączyło się z niebieskim, na ławce przystawionej w nocy do drzwi zajęła miejsce maszyna do pisania i jeszcze kilka innych przedmiotów codziennego użytku. Wieczorem sierżant sam zamykał na klucz i rygiel zewnętrzne drzwi prowadzące na dwór i zapowiedział służbowemu, że nikomu poza nim nie wolno ich przed świtem otwierać. Jego pokój znajdował się na parterze niedaleko drzwi wejściowych do zamku.

Auchtermuchty spało. Księżyc blade oświetlał mury zamku w którym tylko w pokoju sierżanta paliła się jeszcze gazowa lampa. Wybiła północ kiedy zgasło ostatnie światło. Minał jeszcze kwadrans i to co potem nastąpiło nigdy nie zostało dokładnie wyjaśnione. Na parterze zamku dał się słyszeć piekielny loskot wywracanej ławki i trzask spadającej na ziemię maszyny do pisania. Rozległ się jakiś przeraźliwy gwizd, krzyk, potem brzęk tłuczonej szyby i tępy odgłos spadającego na miękką murawę ludzkiego ciała. Potem znow na moment zapanowała cisza. Za chwilę rozległo się gwałtowne dobijanie do frontowych drzwi zamku, któremu odpowiedział zaspany głos służbowego, że drzwi nikomu nie wolno otwierać. Tak wyraźnie nakazał pan sierżant. Po długiej chwili jednak, jako że dobijanie się nie ustawało, odważono się na złamanie rozkazu sierżanta Klimczyka i otwarcie drzwi. Ukazał się w nich sam sierżant, blade, rozczochrany w długiej nocnej koszuli i boso.

Była to ostatnia noc, jaką sierżant Klimczyk spędził w zamku. Długo jeszcze potem opowiadał jak to "duchy" sprzegły się na niego, bo już wieczorem owego pamiętnego dnia nigdzie nie mógł znaleźć klucza do swego pokoju. Potem, w nocy nastąpiło nieszcześnie. W jego pokoju zjawiała się Blue Lady, była wysoka, szczupła i bez głowy. Co dalej nastąpiło nie pamiętał.

Starzy Szkoci kiwali poważnie głowami i triumfowali nad młodzieżą, która zaczynała już lekceważyć stare tradycje. Tylko dowódca Centrum, pułkownik Stefan Kijak uśmiechał się do nas pod wąsem i porozumiewawczo mrugał okiem.

Starzy Szkoci do dziś dnia chyba nie wiedzą komu zawdzięczają utrzymanie ich prestiżu i ugruntowanie tradycji Auchtermuchty.

Tadeusz Lisicki

Nowe bronie

Jest rzeczą niezmiernie trudną ustalić dokładną wysokość olbrzymich kosztów ponoszonych przez poszczególne państwa na polu prowadzonych przez nie wojskowych badań naukowych, będących źródłem coraz to nowych i często rewolucyjnych broni. Z pewnym jednak przybliżeniem można te koszty wydedukować w oparciu o wydawnictwa International Peace Research Institute w Sztokholmie. Na podstawie dorocznych publikacji Instytutu pt. "Światowe zbrojenia i rozbrojenie" za lata 1975 i 1976 zarysowuje się następujący obraz. Z ogólnej sumy ok. 300 miliardów wydawanych rocznie na zbrojenia przez wszystkie kraje świata przypada na badania naukowe ok. 10% czyli 30 miliardów. Sumę tę można rozdzielić (znow z przybliżeniem) w następujący sposób na poszczególne państwa: nieco ponad 10 miliardów - Stany Zjednoczone, prawie 10 mld. - ZSSR i jego satelici, około 3 mld. - Francja, W. Brytania i NRF łącznie, 2 mld. - Chiny, 2 mld. - pozostałe 20 większych krajów.

Są to tak wielkie sumy, że trudno sobie uzmysłowić, co one w praktyce oznaczają z punktu widzenia wojskowych badań naukowych. Pewnej ilustracji na ten temat dostarczają wspomniane publikacje Instytutu. Według nich badania te zatrudniają w skali światowej (znow w przybliżeniu) około 3 miliony osób, a w tym ok. 400 tysięcy naukowców i inżynierów. W Stanach Zjednoczonych według oficjalnych danych naukowe prace badawcze prowadzone na rzecz sił zbrojnych w r. 1976 kosztowały 10.3 mld. dolarów i zatrudniały 149 tysięcy pracowników z wyższym wykształceniem (Annual defence department Report F. Y. 1976). Odpowiada to tysiącowi zakładów, każdy ze 150 naukowcami plus personel pomocniczy i z budżetem rocznym 10 milionów dolarów.

Dotychczas broń nuklearną dzielono na broń strategiczną i taktyczną. Obecnie zaciera się granica pomiędzy tymi dwoma rodzajami broni nuklearnej. Tak samo jak pomiędzy bronią konwencjonalnymi a nuklearnymi. Najmniejszy pocisk nuklearny (mini-mike) na wyposażeniu wojsk NATO o sile wybuchowej równej 100 tonom trotylu, może być wystrzelony jako pocisk artyleryjski,

lub jako pocisk kierowany, ale przy dzisiejszym stanie techniki można także zmieścić w pocisku haubicy 203mm ładunek o sile 10 KT

Pojawił się również inny rodzaj broni "konwencjonalnej", której skutki wybuchu są również niszczące jak broni nuklearnej. Jest to bomba o nazwie FAL (Fuel-Air-Explosion) czasem zwana także bombą ogłuszającą (Concussion Bomb). Według opublikowanych w prasie amerykańskiej danych, działanie jej polega na tym, że zrzucona z samolotu rozrzuca na pewnej wysokości kilkadziesiąt pojemników napełnionych mieszkanką łatwopalnego gazu. Pojemniki rozrywają się tuż nad ziemią rozpylając mieszkankę równomiernie ponad celem i zapalają się. Powoduje to gwałtowny wybuch o bardzo dużej sile kinetycznej podmuchu, wysoką temperaturę i całkowite zużycie tlenu. Rezultat jest podobny do wybuchu bomby nuklearnej, ale bez radioaktywnego promieniowania, a brak tlenu w powietrzu powoduje uduszenie. Działanie bomby FAL charakteryzuje się również tym, że jest ograniczone tylko do powierzchni nad którą mieszkanka została rozpylona.

Na samym polu walki pokazały się także nowe bronie, wśród nich przeciwpancerne i przeciwlotnicze, których wielka skuteczność została zademonstrowana podczas ostatniej wojny izraelsko-egipskiej. Nowoczesna broń przeciwpancerna stanowi bardzo poważne zagrożenie nawet dla najcięższych czołgów o grubych pancerzach. Zdalnie kierowany pocisk przeciwpancerny, obsługiwany przez jednego tylko żołnierza, może przebić pancerz o grubości 40 cm. na odległości do 4 km. Pocisk ten jest bardzo tani w produkcji i może być masowo użyty. Przy pomocy wyrzutni raketowych lub samolotu można w bardzo krótkim czasie położyć pole minowe przed posuwającymi się czołgami a ogień artyleryj - ski, kierowany laserem może zniszczyć czołg na odległości rzędu kilkunastu kilometrów. Wśród różnych nowych broni przeciwko nisko lecącym samolotom i pociskom taktycznym, wysuwa się na pierwsze miejsce amerykańskie działo przeciwlotnicze celujące automatycznie przy pomocy radaru i zdolne do wystrzelenia 6 tysięcy pocisków na minutę. Istnieje również kilka typów bardzo skutecznych szybko reagujących automatycznie kierowanych pocisków przeciwlotniczych.

Wyścig zbrojeń między supermocarstwami doprowadził obecnie do stanu, który można w skrócie określić w następujący sposób: w polu nuklearnym wytworzyła się między nimi pewnego rodzaju równowaga (stalemate), a w dziedzinie broni konwencjonalnych obrona może osiągnąć przewagę nad natarciem. W tej sytuacji obie strony przygotowują się do następnego ruchu na szachownicy zbrojeń. Trudno jednak powiedzieć co w tym zakresie jest gambitem, co informacja a co dezinformacja. Wydaje się prawdopodobnym, że Stany Zjednoczone pójdą w kierunku

wprowadzenia na wyposażenie swoich sił zbrojnych w latach osiemdziesiątych trzech nowych rodzajów broni: pocisków krążących (Cruise Missile-CM), bomby neutronowej i broni laserowych. Z drugiej jednak strony historia nowych broni usłana jest dziesiątkami niewykończonych projektów, wycofanych z różnych powodów i z zapisaniem na straty setek milionów dolarów wydanych na prototypy, a często także na przygotowanie ich produkcji. Wystarczy przypomnieć samolot brytyjski TSR-2, czy skreślony ostatnio z budżetu Stanów Zjednoczonych przez prezydenta Cartera bombowiec B1, mający zastąpić starzejący się typ B52.

Pocisk krążący

Historycznie biorąc pocisk krążący (CM) jest ogromnie ulepszonym samolotem bezpilotowym typu bomby latającej V.1., którą Niemcy bombardowali południową Anglię podczas ostatniej wojny. Bomba ta miała zasięg do 200 km., leciała z szybkością około 600 km.godz. na wysokości około kilkuset metrów z ładunkiem wybuchowym o wadze 700 kg. Była ona mało celna (rozzrut do 10 km.) i stosunkowo łatwa do zniszczenia. W roku 1944 piloci polscy stracili 190 takich bomb (ok. 35% ogólnej liczby zestrzelonych przez RAF).

W odróżnieniu od V.1. szybkość CM jest poddźwiękowa a wysokość lotu: 10 metrów nad wodą i 20 do 40 metrów nad lądem zależnie od terenu. Te dwa czynniki szybkość lotu i bardzo mała wysokość, sprawiają, że CM jest obecnie prawie nie do zestrzelenia i nie do wykrycia przez najlepsze nawet radary. Zasięg jego lotu wynosi do 4 tysięcy kilometrów, przy czym nie leci on do celu po linii prostej, lecz zaplanowaną trasą i różnymi skrętami i zygzakami. Urządzenie kierujące lotem zwane mikroprocesorem jest miniaturowym komputerem połączonym z radarem lub laserem wskazującym kontury terenu i wysokość lotu z dokładnością do 10 cm. Zaplanowana trasa lotu jest nanoszona na mapę komputera zrobiona na podstawie dokładnych zdjęć i pomiarów dokonywanych przy pomocy satelitów. CM jest niesłychanie celny i zależnie od warunków może trafić w cel z dokładnością od 10 do 20 metrów. Ta wielka celność na tak dużej odległości jest wynikiem ogromnych postępów zachodniej nauki i techniki w dziedzinie elektroniki (mikro-miniaturyzacja) i techniki sterowania, daleko przekraczających wszystko to co na tym polu osiągnęły dotąd Sowiety.

CM może być wystrzeliwany z wyrzutni okrętów podwodnych (wyrzutnie pocisków Polaris nie wymagają w tym celu żadnych przerobek), a także z wyrzutni zmontowanych na pojazdach lub też z odpowiednio przystosowanych samolotów. Głowica CM

może mieć ładunek nuklearny lub konwencjonalny. CM jest stosunkowo tani. W produkcji powinien on kosztować około pół miliona dolarów, czyli tyle ile obecnie wynosi cena jednego czołgu. Koszt utrzymania CM jest niewielki tak samo jak wyszkolenie obsługi. Istnieje także możliwość użycia CM jako samolotu bezpilotowego dla takich zadań jak obserwacja lub zastąpienie lotnictwa wsparcia.

B o m b a n e u t r o n o w a

Wybuch ładunku nuklearnego powoduje podmuch, temperaturę wynoszącą miliony stopni oraz radioaktywne promieniowanie, które przejawia się pod dwoma postaciami: jako radioaktywność bezpośrednia powstająca w czasie wybuchu oraz jako radioaktywność osadowa, występująca w formie pyłu powybuchowego. Promieniowanie bezpośrednie składa się głównie z dalekobieżnych promieni gamma oraz z fali neutronów. Neutron jest cząsteczką elementarną o mikroskopijnej masie. Wchodzi on w skład jądra atomowego i nie posiada ładunku elektrycznego, dzięki czemu może on z łatwością przenikać przez materię, a więc i przez pancerze czołgów. Bomba neutronowa skonstruowana jest w taki sposób, że większość energii wybuchu przejawia się jako promieniowanie neutronowe przy znacznym zmniejszeniu podmuchu i temperatury.

Głowica neutronowa może się zmieścić w pocisku artyleryjskim o kalibrze 155mm., albo też w pociskach taktycznych jak pocisk Lance o zasięgu 105km., lub pocisk Pershing o zasięgu 650km. Będące na wyposażeniu wojsk w Europie głowice nuklearne mają ładunek równoważny 1000 ton trotylu. Głowica neutronowa o tej samej sile wydzieliłaby podczas wybuchu ponad 80% energii jako promieniowanie neutronowe, a ponieważ żar i podmuch byłyby znacznie mniejsze niż przy wybuchu nuklearnym zasięg zniszczenia budowli i tp. nie przekraczałby 200-300 metrów, podczas gdy promieniowanie neutronowe o natężeniu zabijającym człowieka sięgałoby około kilometra. Działanie neutronów na organizm ludzki polega na niszczeniu systemu nerwowego, a szkodliwość i skuteczność tego działania zależy od wielkości dawki r. (r. jest jednostką promieniowania rentgen). Tak więc np. dawka ponad 8 000r. zabija natychmiast, 3 000r. obojętnia w ciągu 3 do 5 minut, a dawka rzędu 600r. powoduje zmniejszenie sprawności dopiero po dwóch godzinach i śmierć w ciągu dwóch tygodni. Dawka poniżej 100r. nie wywołuje skutków chorobowych.

L a s e r

Pośród różnych przyszłych broni, laser przedstawia największe potencjalne możliwości, choć dotychczasowe jego zastosowanie wojskowe ogranicza się do urządzeń celowniczych i pomiarowych.

Intensywne prace prowadzone w różnych badawczych laboratoriach świata otoczone są największą tajemnicą. Na podstawie jednak ogłaszanych wyników badań podstawowych można się orientować co do prawdopodobnych kierunków i możliwości przyszłościowego wykorzystania promieni laserowych.

Laser czyli "Light Amplification by Stimulated Emission of Radiation" jest generatorem kwantowym o wymuszonej emisji promieniowania i ściśle określonej częstotliwości, zwanej promieniowaniem laserowym, lub prościej- laser jest wzmacniaczem światła o bardzo specjalnej charakterystyce. Kiedy elektron w atomie przeskakuje z jednej orbity na inną pod wpływem energii doprowadzonej z zewnątrz, wydziela on światło, które ma bardzo specjalne właściwości. Jest ono jednobarwne (monochromatyczne) to znaczy, że kolor jest bardzo czysty i odpowiada jednej stałej częstotliwości oraz jest ono spójne czyli, że ma identyczną fazę w czasie i w przestrzeni. Może być ono albo ciągle, albo impulsywne. Poszczególne impulsy trwające bardzo krótko posiadają wielką energię. Wiązka światła laserowego może być tak ostra, że np. z ziemi oświetli tylko kilkaset metrów kwadratowych księżycy.

Częstotliwości odpowiadające promieniom widzialnym zajmują bardzo małe pasmo promieniowania elektromagnetycznego. Po stronie mniejszych częstotliwości znajdują się fale radiowe. Urządzenie oparte na działaniu lasera, które wzmacnia częstotliwości radiowe nazywa się Maserem (Microwave Amplification by Stimulated Emission of Radiation). Maser umożliwił wzmacnianie bardzo słabych sygnałów radiowych wysyłanych przez nadajniki zainstalowane na satelitach lub księżycu. W zakresie bardzo wysokich częstotliwości, takich jak promienie Gamma, odpowiednikiem lasera jest urządzenie o nazwie Graser (Gamma Ray Amplification by Stimulated Emission of Radiation), są to promienie radioaktywne.

Na wyposażeniu sił zbrojnych znajdują się bardzo precyzyjne dalmierze laserowe, które mogą mierzyć odległość do celu z dokładnością do 1-2 metrów, lub wysokość lotu satelity z dokładnością 3-4 metrów. Są one proste w obsłudze i mogą działać w dzień lub w nocy na częstotliwościach widocznych, lub na niewidzialnych promieniach podczerwonych. Urządzeniem laserowym można wskazywać artylerii cel w terenie, lub też odbitym od niego światłem lasera można skierować na ten cel pocisk balistyczny. Każdy może być dziś strzelcem wyborowym posługując się małym celownikiem laserowym dostosowanym do karabinu. Laserowy zrysek oraz laserowy akcelerometer (przyspieszomierz) pozwalają na dokładną nawigację okrętów podwodnych (np. pod lodem biegunowym), satelitów i tp. Ale wszystkie te urządzenia wyko-

rzętują tylko mały zakres możliwości, jakie przedstawiają soba promienie laserowe.

Prace badawcze nad ich szerszym wykorzystaniem idą w kilku kierunkach. Trudno jednak jest stwierdzić jak daleko one się posunęły, ponieważ na ten temat istnieją różne i często kontrowersyjne opinie autorytatywnych w tej dziedzinie czynników. Tak np. gen. G. Keegan, były szef wywiadu amerykańskiego, twierdził niedawno, że Rosjanie przeprowadzili wstępne próby z promieniami zdolnymi zniszczyć pociski balistyczne. Urządzenie takie działające na zasadzie lasera i wysyłające promienie o bardzo dużej energii wykorzystywałoby jako jej źródło energię atomową. Wkrótce jednak potem wypowiedź gen. Keegana została zdementowana przez inny czynnik autorytatywny: amerykańskiego sekretarza stanu od spraw obrony H. Brown'a. Niewątpliwie teoretycznie wytworzenie takich promieni jest możliwe, ale czy jest ono technicznie osiągalne? Na to pytanie można odpowiedzieć tylko kosztem setek milionów dolarów. Możliwe, że zostały one już wydane i odpowiedź jest znana.

Zupełnie inne są możliwości zastosowań promieni laserowych do zniszczenia czołgu czy samolotu. Stany Zjednoczone przeprowadziły w tym zakresie próbę z dodatnim wynikiem. Impulsy o mocy równej wszystkich elektrowni amerykańskich potrafiły "stopić" czołg: były to prawdziwe promienie śmierci. Graser stwarza podobne możliwości.

Laser może być także zastosowany do przesyłania energii na odległość. Pocisk balistyczny może podczas lotu otrzymywać z promienia laserowego potrzebną do swego napędu energię. Jest to teoretycznie możliwe, czy jednak jest praktycznie wykonalne przy obecnym stanie techniki, tego dotąd nikt nie ujawnił. Najważniejszym jednak w perspektywie przyszłościowej zastosowaniem lasera wydaje się być jego użycie jako "zapalnika" dla wybuchu nuklearnego. Laserem można wytworzyć temperaturę o milionach stopni, przy której zwykły uran może ulec reakcji nuklearnej, podobnie jak to się odbywa na słońcu. Wiadomo, że taką temperaturę można laserem osiągnąć, ale wciąż nie jest wiadome czy da się ją utrzymać dostatecznie długo, by reakcja nuklearna mogła nastąpić. Wybitny amerykański rzeczoznawca przydatności nowych broni dla celów marynarki wojennej, W. Bean, w następujący sposób określił potencjalną rolę lasera: "Mocarstwo, które pierwsze dokona przełomu w dziedzinie promieni lasera, uzyska olbrzymią przewagę nad przeciwnikiem w dziedzinie nowoczesnych broni".

Trybuna, Jesień 1977 r.

(Skrót odczytu w Kole Generalów, wrzesień 1977 r.)

BIBLIOGRAFIA

- A STUDY OF WAR... Wright-Chicago Univ., Press-1942
 WOJNA PSYCHOLOGICZNA... Studium nieopublikowane -
 płk. dypl. Rotarski. Londyn 1950-Arch. Inst. im. gen.
 Sikorskiego
- ON THE OBJECTIVE STUDY OF CROWD BEHAVIOUR...
 L. S. Penrose-1952
- POLAK JAKO ŻOŁNIERZ... Gen. G. Łowczowski-
 Londyn-1968
- THE SCIENCE OF WAR & PEACE... R. Clarke-1971
 ROZWAŻANIA FUTUROLOGICZNE... płk. dypl. T.
 Lisicki-Londyn
- PATHOGENESIS OF WAR... M. Penrose-London-
 H. K. & Co. Ltd.
- WOJNA I PIÓRO... M. Wańkiewicz-Warszawa 1972
 PSYCHOLOGICAL WARFARE... Ch. Roetter-London 1974
 HEIL BEIL-Flugblattpropaganda im zweiten Weltkrieg-
 O. Buchbender H. Schuh-Stuttgart-1974
 GENERALOWIE ABWEHRY ZE ZNAJĄ-J. Mader,
 Wydawnictwo M. O. N. Warszawa-Tłum. 1975

Jan Krajewski

Kochanemu dowódcy z Kampanii Włoskiej,
porucznikowi J. Konieczko,
poświęcam.

Wszystko do Kraju mnie woła

Wszystko do Kraju mnie woła!
Tęsknoty myśl uporczywa
Nie schodzi niemal z czoła
I w głowie bez ustanku
Pytaniem dręczy, przyzywa:
Czemu nie wracasz Janku?
Zwykle tej myśli tłumaczę,
Że kiedy czas przyjdzie, wrócę.
To znowu serce na trwogę
W piersi się silnie tłuczę,
Jak dziecko w tkliwym łkaniu,
Co się nie może doczekać
Ja nie chcę być na wygnaniu
Ja w strony rodzinne chce jechać!
Nocami mną nieraz coś targa.
Zrywam się wówczas z posłania....
To tylko jękliwa skarga,
Jak cień przy łóżku się ślania.
Zmęczony znowu usypiam. We śnie
Sad w westchnien szumiącej mowie
Zaprasza, bym rwał czereśnie.
(Sad ciotki w Uniejowie)
Pierwszy to owoc był w sadzie,
Więc rad mnie nim częstuje
Dziękuję ci młodości mej sadzie!
Jeszcze je kiedyś skosztuje!
Tam znowu pola ze zbożem
Szumiące w śpiwnym powiewie;
W dole Warta i park sędziwy;
Za rzeką ktoś w siwki orze;
Wszystko przyzywa do siebie!
Jaki ja nieszczęśliwy!
Wszystko ciekawe, czy wrócę,
Wszystko mnie pyta o zdrowie....
Dlatego tak bardzo się smucę,
Bo coż ja dziś im odpowiem?

Wszystko do Kraju mnie wzywa!
Ty pierwsza, moja najdroższa,
Matulu nieszczęśliwa!
Pytasz mnie, czemu nie wracam?
Czemu się tułam po świecie?
Milczę.... odpowiedź iza skracam.
Na słowa mnie nie stać przecie.
Z gardła je trudno wykszusić.
Powiem ci kochana jedyna,
Gdy będę mógł do was powrócić,
Lecz dziś nie pytaj syna!
Wszystko do Kraju mnie woła!
Ty także, mój ukochany!
Widzę jak chodzisz po izbie
Smutkiem o syna targany.
O, ojczy! Choć żal cię wzbiera
Cichutko nieraz popłaczesz....
Nie pytaj, nie pytaj mnie teraz,
Gdy wrócę, to powiem, zobaczysz!
Wszystko do Kraju mnie wzywa
I ty, mój drogi Tadziku
(Czytałem z goryczy wzmianką)
W liście z żalnością w krzyku
Wolasz mnie i to stanowczo:
Musisz powrócić Janku
Po każdym takim liście
Lzy ciurkiem kapią mi nieraz
Za krtani coś chwyta, dławij
Czemu wzywacie mnie teraz?
Wszystko do Kraju mnie woła!
Ty też, siostrzyczko jedyna!
Tęsknisz, bo nie przyjeżdżam
I pytasz, co za przyczyna?
Piszesz Danusiu mała,
Że gdyby tak można było,
To do mnie byś przyjechała.
Zdanie to mnie ucieszyło.
Przyjazd swój musisz zaniechać
Nie chcę pieśczoćki zasmucić-
Jak do mnie pragniesz przyjechać,
Podobnie ja do was chcę wrócić.

Wszystko do Kraju mnie wzywa,
 Wszystko tam za mną płacze....
 Żal tęskny mnie porywa....
 Kiedyż was, kiedyż zobacze?
 Kiedyż przestanie za wami
 Tęsknota serce me kluc?
 Łka ona we mnie łzami,
 Nocą mi szepce- wróc,
 Duszy powstrzymać nie mogę,
 Gdy ciało we śnie spoczywa-
 Ona się do was wrywa;
 Wygnańca przywdziewa toę;
 Niby powstaniec sprzed laty,
 Puka trwożliwie do chaty;
 Potem wchodzi, gdy śpicie;
 Pozdrowia głosem stłumionym;
 Choc szeptu jej nie słyszycie:
 - Niech będzie pochwalony-
 Jedynie lampka przed Panem
 Mruga światełkiem radośnie.
 - Na wieki wieków i amen-
 Zaskwierczy cicho, miłośnie
 I cisza ... cisza tak głucha
 W izbie zalega dokoła
 A dusza chodzi, wciąż słuca ...
 Lecz nikt jej w mrokach nie woła.

Witley, 10.12.1948.

ERRATA

Zauważone poprawki:

- str. 1. u dołu dodać:
Wszystkie artykuły podpisane
są wyrazem osobistych poglądów
ich autorów.
- str. 10. skreślić podtytuł:
Nowa radiostacja dywizyjna
- str. 69 skreślić całą stronę.
Bibliografia itd.